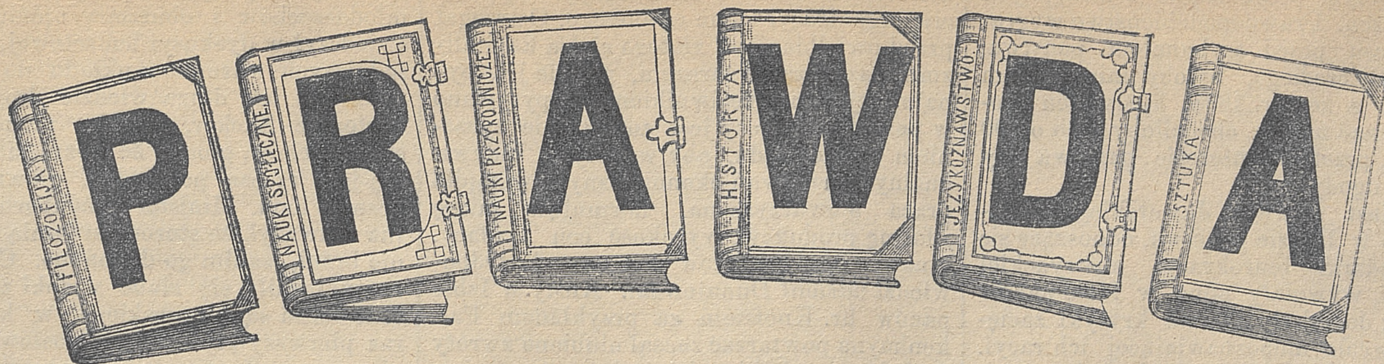
Nr. 23. Warszawa, dnia 7 Czerwca (26 Maja) 1890 r. Rok X.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: *Polityka:* Stróże pokoju. — Z Austryi p. S. — Tydzień polityczny. — *Odcinek:* Wiek XXI. II. Restauracye w XXI wieku (według Bellamy'ego). — *Życie społeczne:* Ubezpieczenie pieczy macierzyńskiej p. J. Wojewódzkiego. — Sprawy zdrowia p. d-ra L. W. — Listy wiedeńskie p. Stwosza. — *Badania naukowe:* Kartki naukowo-artystyczne. — *Literatura i sztuka:* Literatura polska. Gawalewicz Maryan: Komedye p. Zyg. Piet. — Dwa salony p. Parisisa. — *Fejleton:* Liberum veto p. Posła Prawdy. — Na widnokręgu p. Z. Atanazego. — Kronika. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

Szanownym abonentom naszym przypominamy termin odnowienia kwartalnej i półrocznej przedpłaty.

POLITYKA.

STRÓŻE POKOJU.

Jak wiadomo czytelnikom, od sejmu niemieckiego zażądano nowych milionów marek i nowych tysięcy ludzi dla wzmocnienia armii, która jakoby została w swej mocy prześcignięta przez siły zbrojne mocarstw sąsiednich a zwłaszcza Francyi. Od lat wielu przy wszelkich podwyżkach budżetu wojskowego występuje ten argument, usprawiedliwiający żądanie ofiar a zarazem oświetlający Niemcy promieniami dążeń pokojowych, przyćmionymi tylko potrzebą pamiętania o własnej obronie. Nie powiększamy naszej armii — mówią one — dopóty, dopóki nam nie grozi niebezpieczeństwo przewagi ze strony sąsiada: dojrzawszy je, musimy się ubezpieczać. Zawsze więc Niemcy grały rolę zniewolonych a nie dobrowolnych przodowników militaryzmu. Poseł Richter, słusznie nazwany kiedyś „przeciwministrem wojny," gruntowny znawca rzeczy wojskowych, wielokrotnie podawał w wątpliwość ową mniemaną przewagę sąsiadów, twierdząc, że ją właśnie wytwarzają i posiadają Niemcy; nigdy wszakże nie wykazał tego tak dowodnie, tak ścisłem i niewzruszonem zestawieniem cyfr, jak teraz, obnażając bezzasadność żądania nowych dla armii zasiłków w pieniądzach i ludziach. Pomijamy szczegóły jego rachunku, przytoczymy tylko liczby ogólne i wnioski, które mają znaczenie wysoce pouczające. Otóż według Richtera, obecne rzeczywiste pogotowie wojenne podczas pokoju wynosi we Francyi 457,000 ludzi, w Niemczech zaś—462,336, a zatem o 5,000 głów więcej. Co do wydatków, armia francuska kosztuje rocznie 504 miliony marek, niemiecka zaś 614 mil. m., zatem 110 mil. m. więcej. Jeżeli przeto rząd niemiecki wymaga 18,000 żołnierzy i 18,000 marek więcej, to bynajmniej nie dla „wyrównania wysię" z pogotowiem francuskiem, lecz dla przewyższenia go o 23,000 ludzi.

Nie dość na tem. Niemieccy ministrowie wojny po każdej podwyżce budżetu oświadczali dawniej, że na długo jest ona ostatnią. Ponieważ było to świadome lub bezwiedne kłamstwo, które im później wypominano, więc obecny minister nietylko nie powtórzył owego zapewnienia, ale przeciwnie zapowiedział dalsze przekształcania w armii i dalsze olbrzymie na nią wydatki. Wyraziwszy zamierzony plan owych „reform" w cyfrach, Richter obliczył, że dotychczasowe pogotowie wojenne będzie podwojone i w czasie pokoju (1900 r.) dosięgnie cyfry *1,032,000*, w czasie zaś wojny *6,566,000* głów. Przy 52 mil. zaludnienia kraju stanowić to będzie *czwartą* część ogólnej sumy mężczyzn, od niemowląt do starców, a 72% ludności męzkiej dojrzałej, od 17 do 45 roku życia. Oprócz strat z przymusowej bezczynności takiego olbrzymiego zastępu ludzi, roczny koszt utrzymania ich dojdzie do *970 milionów* marek. Dla zapełnienia tej strasznej otchłani podatki urosnąć muszą w stosunku ze 100 do 350.

Taka przyszłość czeka Niemcy a z niemi całą Europę. Są to cyfry wprost potworne i groźne już nie dla samego bytu ekonomicznego, ale dla bezpieczeństwa społeczeństw. Teorya Bismarka, według której „każdy żołnierz jest premią asekuracyjną pokoju," gdyby nawet była słuszną w odniesieniu do stosunków zewnętrznych państwa, to jest niedorzeczną w odniesieniu do wewnętrznych. Bo czyż można przypuścić, ażeby trzymanie pod bronią czwartej części mężczyzn zdolnych do pracy i wydawanie bez pożytku 970 milionów marek rocznie, mogło nie wytwarzać żywiołów i wrzeń przewrotowych? Czyż to nie jest drażnienie w masach instynktu samozachowawczego? Moltke powiedział, że niebezpieczeństwo wojny spoczywa nie w rządach, ale w narodach; więc czy należy je jątrzyć i doprowadzać do rozpaczy? Rząd niemiecki wierzy w bezgraniczność i bezdenność lojalizmu swych poddanych — niech więc go wystawia na dalsze próby. Niech wszakże nie okłamuje świata zapewnieniami, że jest szczerym stróżem i orędownikiem pokoju, że potęguje swój militaryzm z konieczności wyrównania swym sąsiadom. On bowiem idzie tą drogą ciągle na przedzie, on wytwarza przewagę, która innych zmusza do naśladowania go i wytężania sił swoich. Rachunek porównawczy Richtera nie zostawił pod tym względem żadnej wątpliwości, zdarł maskę obłudy i ukazał nam Niemcy jako państwo, niezmordowanie pracujące nad niepokojem świata. Jeżeli tedy Europa nie chce się wycieńczyć aż do zupełnego omdlenia, powinna złamać potęgę niemiecką i podwiązać te otwarte arterye, z których militaryzm wypuszcza jej krew. Jak przekonywamy się z ostatnich projektów wojskowych, Niemcy nie zatrzymają się w uzbrojeniach dobrowolnie, trzeba więc je do tego zmusić. A można to uczynić nawet bez wojny; bo dlaczegóżby państwa zgodnie nie miały określić najwyższej liczby wojska, jaką każde z nich utrzymywać może? Dlaczego taki nacisk, dotąd wywierany na słabych, nie miałby być zastosowanym do silnych?

Z AUSTRYI.

Epilog ugody indemnizacyjnej. — Walka ministrów. — Dzieje ugody czesko-niemieckiej. — Powstanie partyi słowiańskiej w parlamencie austryackim.

Zanim ugoda indemnizacyjna nabrała znaczenia obowiązującego państwo, Izba panów położyła na niej swą pieczęć. Hr. Belcredi, jako prezydent trybunału administracyjnego, gruntowny tej sprawy znawca, długim wywodem historyczno-prawniczym stwierdził słuszność pretensyj galicyjskich, opartych na patencie z r. 1848,

niezmienionym przez żadne z następnych rozporządzeń. Prawdopodobieństwo wygrania procesu przed trybunałem państwa, według Belcrediego, byłoby minimalnem dla rządu, a że w r. 1898, kiedy ten proces rozpocząć można, chodziłoby jeno o 100 milionów, przeto w interesie państwa leży przyjęcie ugody.

Natomiast wywody Jaworskiego i Madeyskiego w Radzie państwa, odnoszące się do gospodarki biurokracyi austryackiej w Galicyi, wywołały silną w Izbie panów opozycyę; doczekały się one krytyki zaciętej, lecz wcale niepozbawiającej ich racyi. Wypływa to już z tej jednej okoliczności, że obaj oponenci, słynny historyk Arneth i nestor biurokracyi austryackiej, Plener, na jednym tylko opierali się argumencie, którego niedostateczność bije w oczy. Jakto — wołali — wy śmiecie podejrzywać rzetelność administracyi, na której czele stali ludzie, jak hr. Lobkowic, jak ojciec hr. Taaffego, a nawet książęta domu habsburskiego? Liberałowie, broniący urzędników z czasów ucisku w imię patryotyzmu austryackiego, istotnie tym jednym tylko walczyć mogli dowodem, gdyż to, co niemieccy pisarze liberalni, jak Hammer, Hellmuth i inni pisali o gospodarce tych urzędników od r. 1772 do 1860, bynajmniej posłużyćby nie mogło jako materyał przedmiotowy dla fałszywego ich patosu. Powoływanie się zaś na uczciwość najwyższych przedstawicieli rządu w Galicyi, jest chyba świadomem mamieniem opinii Izby, z jednej strony bowiem pod kierownictwem najuczciwszych namiestników zepsuta maszyna administracyjna mogła kraj wyzyskiwać, z drugiej — namiestnicy ci, trzymając się polityki wyznawanej w Wiedniu, z dobrą wiarą mogli niszczyć kraj, by przysłużyć się państwu.

Po raz wtóry już w ubiegłym okresie parlamentarnym minister Dunajewski zmusił opozycyę niemiecko-liberalną, aby mu przyklasnęła. Uczyniła ona to ostentacyjnie, aczkolwiek z dość kwaśną miną, kiedy obdarzył Wiedeń zniesieniem linij akcyzowych, a tem samem rozszerzył stolicę aż po kraj Wienerwaldu. Uczynić to musiała i obecnie, kiedy Dunajewski z bezwzględnością właściwą sobie wystąpił w Izbie panów przeciw społecznemu programowi Falkenhayna, wygłoszonemu w parlamencie. Minister rolnictwa niepomiernie wywołał był zdumienie, kiedy z niewinnych ust jego, przyzwyczajonych do prawienia o filokserze, rogaciznie i nierogaciznie, usłyszano znienacka program reform społecznych, głoszony zazwyczaj przez zjednoczonych chrześcian pod „złotem sitem": żądał on utworzenia cechów, zastrzegając się przeciw organizacyi stanu czwartego. Ostrzegał przed uwielbianiem złotego cielca kapitalizmu, zaznaczając zarazem, że nie jest bynajmniej jego przeciwnikiem. Zapytywano w parlamencie, czy jest to istotnie życzeniem całego rządu, aby w miejsce indywidualnych usiłowań ekonomicznych wstąpiła praca stowarzyszona, normująca miarę i formę produkcyi, wysokość cen i płacy, a nawet ilość członków korporacyi. Odpowiedzi udzielił Dunajewski. Kiedy w Izbie panów hr. Knefstein za przykładem Falkenhayna powtarzać zaczął ulubione zwroty feodałów o wielkim kapitale, pożerającym drobne rzemiosła, zwroty mające zwalić całą winę obecnych niedostatków ekonomicznych na kapitał, a zamaskować ekonomiczną szkodliwość latyfundyów. Dunajewski z całą swą ciętością i gryzącą ironią wystąpił przeciw Knefsteinowi, celując wprost w Falkenhayna. Co prawda, nie na wszystkie argumenty, przytoczone przez niego, zgodzić się może postępowy przeciwnik programu konserwatywno-socyalistycznego; bądź co bądź jednak były w przemowie jego ustępy, które zasługują na pełne uznanie: według Dunajewskiego, rząd, zajmujący pozycyę zawisłą, niema prawa występowania z systemem przeciwnym całości stosunków istniejących. Do przewrotu społecznego i państwowego nie posiada ani siły, ani chęci, ani powołania. Podnosił on znaczenie chrześciaństwa — pod hasłem bowiem chrześciaństwa walczą feodałowie i socyaliści — dlatego właśnie, że ono wytworzyło szacunek dla indywidualizmu, swobody i odpowiedzialności jednostki. Rząd państwa o cywilizacyi zachodniej musi i powinien uszanować samoistność i wolność indywidualną.

Przemowa Dunajewskiego była publiczną lekcyą, udzieloną hr. Falkenhaynowi. W każdym innym gabinecie dwaj ci ministrowie nie mogliby nadal wspólnie zasiadać. W Austryi inaczej. Hr. Falkenhayn dąsa się wprawdzie, ale zostaje.

Wytrzymałość gabinetu obecnego jest istotnie zdumiewającą. I hr. Taaffe w ciągu dni ostatnich miał ustąpić, ale także zostaje. Ugoda czesko-niemiecka, na której opierała się przyszłość jego stanowiska, zaczyna się rozbijać: organy hr. Taaffego zaznaczyły wyraźnie, że on, zaangażowawszy się wobec cesarza, nie może pozostać na czele rządu, skoro układ do skutku nie przyjdzie, lecz czechów groźba ta nie przeraziła, a hr. Taaffe zażył tabaki, uśmiechnął się i jest, czem był. Jeszcze podczas obrad parlamentu doczekali się niemcy niemiłej niespodzianki, kiedy Rygier, party przez agitacyę młodoczechów i oburzoną opinię ludu, oświadczył w dyskusyi budżetowej, że od zasadniczych warunków układu do przeprowadzenia ich długa wiedzie droga, kiedy następnie Zucker, również przedstawiciel staroczechów, głosił, że przyjęcie punktacyj jest rzeczą podrzędną, główną zaś — uczucia ludu. Minister Schönborn wówczas już zauważył, że staroczesi łamią zawieszenie broni, zanim go dokonano. Całkowicie zaś wyjaśniły się słabe widoki zgody podczas obrad sejmu czeskiego, w których po raz pierwszy brali udział posłowie czeskoniemieccy. Ze strachem wzrastającym ciągle widzą niemcy, że czesi niweczą układ polityką przewlekania. Jeden wnosi zawieszenie rozpraw, drugi — wybór komisyj, trzeci — rozstrzygnięcie kwestyj formalnych. Najtęższy klin wbili młodoczesi twierdzeniem, że wszystkie ustawy i rozporządzenia, oparte na ugodzie, równocześnie przedstawione być winny cesarzowi do sankcyi. Daremnie więc przyśpieszono rozprawy w parlamencie, daremnie zwołano sejm czeski jeszcze przed delegacyami: uchwały większości, zatwierdzające punktacye wiedeńskie, mają wejść w życie wówczas dopiero, kiedy wypracowane będą wszystkie bez wyjątku rozporządzenia. Lojalnego przyjęcia, zapowiedzianego przez ks. Lobkowica, nie znaleźli niemcy w sejmie; czesi są silniejszymi i postępują sobie jak silniejsi. Przewlekając z jednej strony traktowanie samych punktacyj w pełnym sejmie, z drugiej strony w komisyi ze zdumiewającą szybkością przeprowadzili uchwałę, że we wszystkich okręgach czeskich używanym być ma nadal język czeski jako urzędowy. Uchwała ta, sprawiedliwa bezsprzecznie, w jawnej pozostaje sprzeczności z ugodą wiedeńską, obowiązującą oba stronnictwa do zawieszenia broni w walce językowej na czas, pókiby po przeprowadzeniu urządzeń, warunkami umowy objętych, sytuacya zupełnie jasności nie nabrała.

Oto pokrótce dzieje pougodowe, o ile jawnie na scenie politycznej się odgrywają. Ze zgrozą patrzą na nie niemcy, wszechwładni niegdyś w Austryi; a zgroza ich wzrosłaby znacznie, gdyby zrozumieli, co się odgrywa po za kulisami. Kiedy w parlamencie wiedeńskim walczono o indemnizacyę galicyjską, okazało się, że istnieje większość słowiańska, która opanować może sytuacyę niezawiśle od niemców i klerykałów, skoro polityczne jej odłamy porozumieją się zdołają. W sprawie ugody indemnizacyjnej porozumienie to nastąpiło: gło-

---

2)

WIEK XXI.

II.

Restauracye w wieku XXI

(według Bellamy'ego*).

W ciągu dnia padał deszcz ulewny i ulice musiały być pełne błota. Pomimo że dom obiadowy znajdował się w pobliżu, sądziłem jednak, że moi gospodarze zaniechali zamiaru udania się do niego. Byłem więc mocno zdziwiony, kiedy w porze obiadowej panie zjawiły się gotowe do wyjścia, lecz bez kaloszy i parasolów.

Zagadka została wyjaśniona, kiedy znaleźliśmy się na ulicy. Chodniki były nakryte długim i nieprzemakalnym dachem ochronnym, zamienione na pewnego rodzaju korytarz, wzdłuż którego mężczyzni i kobiety tłumnie śpieszyli na obiad. Na rogach po nad ulicami były rzucone lekkie mostki, również osłonięte od deszczu. Szedłem obok Edyty, którą niezmiernie bawiło moje opowiadanie, że za dawnych czasów po ulicach Bostonu mogły chodzić w niepogodę tylko te osoby, które zaopatrzyły się w parasol, kalosze lub płaszcz nieprzemakalny.

— Czy wtedy nie było jeszcze pokryć wzdłuż chodnika? — zagadnęła.

Odrzekłem, że tu i owdzie można je było widzieć, ale tylko na przestrzeni pojedynczych domów. Objaśniła mnie, że obecnie wszystkie ulice podczas złej pogody są okryte taką zwijającą się osłoną. Uważanoby za rzecz nie do przebaczenia, gdyby pogoda miała wywierać jakiś wpływ na ruch miejski.

Dr. Leete, który szedł na przodzie, posłyszał naszą rozmowę. Zwrócił się do nas i zaczął dowodzić, że cała różnica pomiędzy okresem indywidualizmu a kooperacyi występuje przewybornie chociażby w tym jednym fakcie, iż bostończycy wieku XIX podczas deszczu rozpinali trzysta tysięcy parasolów, w wieku zaś XXI jeden dach ochronny rozpostarł się nad głowami wszystkich.

W dalszej drodze Edyta opowiedziała mi, że parasol jest ulubionym wzorem, używanym przez ojca dla scharakteryzowania dawnych zwyczajów, kiedy to każdy troszczył się wyłącznie o siebie i swoją rodzinę.

— W naszej galeryi — mówiła — znajduje się obraz z wieku XIX, który przedstawia tłum podczas deszczu. Każdy trzyma parasol nad sobą i żoną, strząsając wodę na sąsiada. Ojciec myśli, że jest to ze strony malarza satyra na stosunki ówczesne.

Z tłumem weszliśmy do olbrzymiego gmachu. Z powodu dachu ochronnego nie mogłem przyjrzeć się frontowi, ale jeżeli odpowiada on wnętrzu, które przewyższa o wiele wczoraj odwiedzony przeze mnie skład towarowy, to powinien wyglądać wspaniale. Udaliśmy się po schodach na górę i znaleźliśmy się w długim korytarzu, na który wychodziło mnóstwo drzwi. Nad jednemi widniało nazwisko mojego gospodarza. Tutaj weszliśmy. Był to elegancki pokój stołowy ze stolikiem na cztery nakrycia. Okna otwierały się na podwórze; wodotrysk wysoko rzucał wodę; słychać było dźwięki wesołej muzyki.

— Zdaje się, jak gdybyśmy byli w własnym domu — rzekłem, siadając, do d-ra Leete, który nacisnął guzik dla przywołania służby.

— Istotnie, znajdujemy się w pewnej części naszego mieszkania, nieco więcej oddalonej od reszty, odpowiedział. Każda rodzina dzielnicy posiada w tym olbrzymim

*) Patrz numer poprzedni.

sowali konserwatywni z postępowymi, staroczesi z młodoczechami i ugoda przeszła. Na tym gruncie kilku dzielnych posłów polskich i czeskich rozwinęło akcyę, która w razie powodzenia zmieni wewnętrzne stosunki polityczne w Austryi na korzyść słowian. Wszystko temu rokuje powodzenie. Młodoczesi porozumieli się o wiele rychlej ze staroczechami, aniżeli z niemcami, a postępowanie ich w sejmie jest niemal zupełnie solidarnem; hardość zaś zjednoczonych czechów na tem się opiera, że posłowie polscy przyrzekli im pomoc w parlamencie. Dlaczegożby więc czesi dobrowolnie ustąpić mieli niemcom cośkolwiek ze swych praw i władzy, skoro otwierają im się szanse zachowania ich w całości? Pozorny układ przyjdzie do skutku, z tej jednej przyczyny, że cesarz zaprosił był uczestników konferencyj ugodowych na obiad do zamku; lecz będzie to istota polityczna nieżywo urodzona. Sejm przyjmie umowę, lecz zgoda czesko-niemiecka rozbiła się; z gruzów jej powstała budowa bardziej organiczna—ugoda czesko-polska.

S.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Bismark nawet teraz po ustąpieniu zbiera dowody, do jakiego stopnia był on hypnotyzerem a Niemcy jednem wielkiem jego medium. Bo wyobraźmy sobie, że jakiś inny minister dymisyonowany przyjmuje u siebie korespondentów, z którymi najdalsze stosunki uważane były za zdradę kraju, że odsłania przed nimi tajemnice sprawowanego urzędu, że dyskredytuje działania swego monarchy, nazywając jego podróż do Turcyi niewłaściwą, a konferencyę robotniczą — „uderzeniem w wodę,“ że przedstawia się jako ofiara intrygi, że ma nadzieję usłużenia jeszcze ojczyźnie — naturalnie wbrew woli cesarza, wyobraźmy sobie to wszystko a łatwo odgadniemy, co by z takiem zuchwalstwem zrobiono. Tymczasem Bismark, jak St. Just, powiada: „trzeba tylko śmieć“ i drwi z gromów, które każdego innego by zgniotły a jego nawet nie drasnęły. Wyspowiadał on się znowu przed korespondentem paryskiego *Petit Journalu*. Jak zwykle, nie kłopocząc się o dobór porównań, oświadczył, że znajduje się w położeniu obrażonego ojca, który jednak swego syna (cesarza) uważa za dzielnego „chłopca,“ że Wilhelm II jest młodym i gorącym koniem, który nie mógł zgodzić się w zaprzęgu z nim, starą szkapą itd. Przyzwoitość tych dosadnych wyrażeń musiała na dworze sprawić dziwne wrażenie — ale zbuntowany sługa już o pana nie dba. Obiecuje, że przyjmie mandat do sejmu i tam będzie „bronił swoich przekonań.“ Tymczasem chodzi znudzony po lesie, odzwyczajając się od polityki, przed kilku dniami wyjechał do Hamburga, któremu zawdzięcza najwięcej sympatyi i podarków, a zamierza zrobić wycieczkę do Anglii. Synek zaś jego Herbert wpadł do Paryża i odegrał przed kilkoma dziennikarzami rolę ojcowskiej papugi i małpy. Charakterystycznem jest to bratanie się Bismarków z francuzami, których dotychczas chrzcili tylko mianem „dziedzicznych wrogów.“

Wilhelm II szybko wyreparował się ze zwichnięcia nogi i rany po wypadnięciu z powozu. Odbywa już wycieczki konne.

Następcą zmarłego arcybiskupa Dindera został biskup Likowski. Czy polityka kościelna z tą zmianą zwróci się w innym kierunku — nie wiadomo. Wątpimy.

Sejm czeski, nie doszedłszy do żadnego ładu i końca w sprawie ugody, zawiesił swoje obrady i otworzył pole manewrom zakulisowym, które zapewne rozegrają się pomyślniej, gdy rząd rzuci swój bijący wszystkie karty atut — cesarza.

Następca tronu włoskiego przybył do Petersburga, powitany i ugoszczony z wielką serdecznością. Po tych odwiedzinach Włochy spodziewają się znacznej poprawy stosunków z Rosyą.

Proces Panicy wreszcie ukończono. Sam on skazany został na śmierć, ale przedstawiony do ułaskawienia; wspólnik jego Kałubkow na 9-letnie więzienie, inni na kozę z krótszym terminem.

W Bawaryi ustąpił prezes gabinetu minister Lutz, który kiełznał zapędy ultramontańskie; jednocześnie stronnictwo klerykalne zwyciężyło przy wyborach do rad prowincyonalnych w Brukselli. Czarnym wiedzie się coraz bardziej.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

USPOŁECZNIENIE PIECZY MACIERZYŃSKIEJ.

Filister bardzo chętnie drwi z utopistów, wyrywających się z ciasnego zakresu tradycyjnych stosunków na jakąś szerszą widownię; lecz rozwój społeczny jeszcze nielitościwszej chłoście poddaje bezwładność umysłową panów majstrów zdrowego rozsądku, co więcej, wystawia ich na próbę przykrzejszą — wcielania w życie rękami i wbrew własnej woli wyśmiewanych marzeń. Właśnie stoimy wobec podobnego faktu w zakresie tegoczesnej rodziny, tej nieodzownej a najważniejszej podwaliny porządku społecznego — jak twierdzi ciasnota dziejowa, widząca nie w reprodukcyi gatunku warunek istnienia gromad ludzkich, ale jedynie i wyłącznie w szczególnej formie związku familijnego. Naturalnie, prawo rodziców do znęcania się i pastwienia nad młodem pokoleniem należy do niezbędnych właściwości tej podwaliny; również porządek społeczny ma zaginąć, jeśli matka przestanie systematycznie spełniać rolę maszyny do ucierania nosa swoim dzieciom. A tymczasem jak gdyby na przekór rozwój stosunków cząstka po cząstce odsyła do archiwum dziejowego te wszystkie niezbędne obowiązki lub prawa rodzicielskie. Posiadamy już dość obfity materyał w tym względzie. Nie przedstawia on jeszcze obrazu wykończonego, jest raczej zebrany dorywczo z nader znacznemi lukami. Ale i nasz krótki artykuł bynajmniej nie chce zakrawać na studyum wyczerpujące; jest on tylko przedstawieniem rozproszonem dążności dzisiejszych na polu wychowawczem. Mówiąc o przekształcaniu się tegoczesnej rodziny, w żaden sposób nie możemy oprzeć się na faktach pojedynczych i nazbyt nielicznych, tembardziej zaś na zjawiskach, wypływających z jakiegoś newropatycznego kaprysu lub warunków zamożności materyalnej. Wolno nam wziąć pod uwagę tylko te objawy, które wynikają z ogólnego prądu rozwojowego chwili, są koniecznością dla ogromnej części członków społeczeństwa, tak iż zostają wcielane często wbrew panującym poglądom i życzeniom. Otóż w takiem a nie innem położeniu znajdują się różne urządzenia, zgarniające do siebie dziatwę już od trzeciego roku życia w najrozmaitszych okolicach z większym ruchem przemysłowym. Mamy przed sobą zbiorową pracę dwu kobiet w języku francuskim w sprawie tak zwanych *écoles maternelles*— „szkół macierzyńskich.“ Między innymi spotykamy nagłówek: Obowiązki matki względem dziecka. „Matka winna zajmować się wychowaniem swojego dziecka, winna zaś dlatego, że macierzyństwo nie może kończyć się na materyalnym a brutalnym czynie rodzenia, lecz polega jeszcze na wypełnieniu wszelkich obowiązków codziennych, wszelkich niepokojów tak bolesnych i radości tak upajających; winna to czynić jeszcze i dlatego, że jedynie

---

budynku oddzielny pokój do swego wyłącznego użytku, płacąc za to nieznaczne komorne. Sale dla przejezdnych lub pojedynczych osób znajdują się na innem piętrze. Kiedy chcemy obiadować tutaj, czynimy zamówienie wieczorem, wybierając potrawy według spisu, codziennie pomieszczanego w gazetach. Obiad może być prosty lub bardziej wyszukany, stosownie do życzeń, lecz w każdym razie kosztuje taniej i jest lepszy, niż gdybyśmy go sami przygotowywali w domu. Moi rodacy interesują się wielce doskonałością kuchni i przyznam się, że jesteśmy nieco dumni z powodzenia w tej mierze. Niektóre strony waszej cywilizacyi mogły być tragiczniejsze, lecz nic nie działało chyba bardziej przygnębiająco nad skromne posiłki, na które skazani byli ludzie z małymi środkami.

— Tym razem wszyscy zgodzilibyśmy się na zdanie pańskie — dodałem.

Zjawił się kelner, przyjemnej powierzchowności młodzieniec w prostem ubraniu posługującego. Po raz pierwszy widziałem członka wielkiej armii roboczej, przyglądałem też mu się bacznie. Powiedziano mi, że młody ten człowiek otrzymał dobre wychowanie i społecznie stał na tym samym poziomie, co osoby, którym usługiwał. Tymczasem, o ile można było sądzić, zachowanie z obu stron nie zdradzało, aby się krępowano wzajemnie. Dr. Leete mówił tonem pośrednim pomiędzy prośbą a rozkazem, młody zaś człowiek spełniał polecenia chętnie i bez poufałości. Było to jakby zachowanie się szeregowca w armii, lecz bez militarnej tresury. Gdy wyszedł, nie zdołałem powstrzymać się od uwagi, jakim sposobem podobnie wychowany człowiek może tak chętnie wypełniać swe obowiązki lokajskie.

— Lokajskie? Cóż to za słowo? Nigdy go nie słyszałam! — przerwała Edyta.

— Jest to wyraz przestarzały — tłomaczył jej ojciec. Jeśli się nie mylę, używano go względem osób, zajmujących się szczególnie nieprzyjemnemi robotami i usługami, a nadto jeszcze w pewnem innem, przenośnem a pogardliwem znaczeniu. Czyż tak, panie West?

— Mniej więcej tak, jak pan wyjaśniłeś — odpowiedziałem. Osobiste usługi, np. podawanie obiadu, uchodziły za lokajskie i były tak pogardzanemi, że wykształcone i szanujące się osoby gotowe byłyby raczej wszystko przenieść, aniżeli poniżyć się do tego.

— Istotnie, cudackie zapatrywanie! — zawołała pani Leete.

— A jednakże niepodobna się było obejść bez tych usług — dodała Edyta.

— Naturalnie — odrzekłem — lecz wkładaliśmy je na barki nędzarzy, którzy inaczej musieliby umierać z głodu.

— I zwiększaliście jeszcze nieprzyjemność takiego stanu waszą pogardą — zauważył dr. Leete.

— Obawiam się, żoś mnie pan nie zrozumiał — podjęła Edyta. Czy chciałeś powiedzieć, że kazaliście spełniać komuś nieprzyjemną robotę i przyjmowali usługi, lecz nic nie dawaliście w zamian? Wszak nie jesteś pan tego zdania?

Musiałem wytłomaczyć, że działo się nie inaczej. Dr. Leete pospieszył mi z pomocą.

— Ażeby można było pojąć zdziwienie Edyty, potrzeba, żebyś pan poznał pierwsze i najgłówniejsze przykazanie naszej moralności. Żądać od kogoś jakiejś usługi i nie chcieć mu odwzajemnić się podobną — takie postępowanie uważalibyśmy za zaciąganie pożyczki bez zamiaru zwrotu. Zmuszanie kogoś do takiej usługi dzięki temu, że ten ktoś znalazł się w położeniu rozpaczliwem, utożsamilibyśmy z jawnym rozbojem. Stępienie wrażliwości względem ogółu społecznego jest najgorszem następstwem podziału klasowego i kastowego. Nierówne rozmieszczenie bogactwa, oświaty i wy-

ona może otoczyć dziecko bezustannemi a troskliwemi staraniami, wymaganemi przez niemoc fizyczną. Słowem, matka *winna* wychowywać dziecko, a państwo, jeśli umożliwia jej usuwanie się od tych długów, jeśli zachęca ją do wyzbycia się z najszlachetniejszego obowiązku, moralnie ją poniża, przyczynia się do rozluźnienia węzłów rodzinnych i pozbawia niemowlę wszystkiego, co opromieniłoby jego lata młode — swobody i tkliwości. Z tego punktu widzenia szkoła macierzyńska jest istnem przekleństwem i państwo, które pomieściło w rocznym budżecie kwotę 5 milionów franków na ten cel, staje się obłąkańcem i zbrodniarzem." Jasno a wyraźnie. Ze zdziwieniem też widzimy, że po ostatniem tylko co przytoczonem zdaniu ukazuje się nowe, wydrukowane wielkiemi czcionkami: „A jednak ta szkoła macierzyńska jest dzisiaj nieodzownem a pożytecznem urządzeniem!" Dlaczego? Po pierwsze: „warunki ekonomiczne, konieczność przyniesienia do domu zarobku na swoje i swojej rodziny utrzymanie, w wielkich miastach i znacznych ogniskach przemysłu, brutalnie odrywają kobietę od zajęć domowo-gospodarskich. Z tego powodu dla dziatwy warstw robotniczych szkoła macierzyńska staje się konieczną, co więcej, jest dobrodziejstwem." Powtóre należy zawsze pamiętać, że jakkolwiek prawie każda kobieta rodzi się z uzdolnieniami niezbędnemi do wydania na świat nowego okazu ludzkiego, nie każda jednak umie i chce spełniać obowiązki wychowania. W domach zamożnych znajdzie się płatna zastępczyni powinności matczynych, ale wśród warstw pracujących cały ciężar, z braku u matki odnośnych zdolności, spada na biedne dziecię.

Znamy więc przyczyny, dzięki którym dziecko niezamożne, pozbawione już słońca i dostatecznego pokarmu, zostaje jeszcze oderwane od matki i oddane wraz z innemi pod opiekę obcej kobiety. Rozwijanie się odpowiednich instytucyj, znanych pod najrozmaitszemi nazwami (Kinderbewahranstalt i Kleinkinderschule w Niemczech, infant school w Anglii, école maternelle we Francyi), weszło już dzisiaj na drogę, zasługującą bezwarunkowo na kilka słów wzmianki. Musimy jednak poznać w krótkości i przeszłość. Jako jedne z pierwszych wystąpiły miłosierne dusze filantropów, tych gorliwych pracowników w wynajdywaniu środków, aby ktoś, posiadający nader mało zasobów do utrzymania się, mógł wydawać jeszcze mniej i w ten sposób zniżać swoje wymagania na rynku pracy i odpowiednio zgnębiać swojem współzawodnictwem lepiej uposażonych towarzyszów niedoli. Potrzeba było dla tłumów niefachowych, *unskilled labourers* — jak powiada anglik, znaleźć sposoby taniego wyżycia, a wynaleziono zupę rumfordzką; należało odjąć od zarobku część, idącą na wynajęcie stałego dachu nad głowę — i ukazały się filantropijne przytułki; wreszcie trzeba było zwolnić matkę od troski o niemowlę, aby mogła współzawodniczyć z mężem — powołano do życia odnośne urządzenie. I jakkolwiek sprawa ta może wyglądać w innem oświetleniu, posiada wszakże jedynie takie a nie inne znaczenie społeczno - ekonomiczne. Rzecz ciekawa, że wraz z filantropijnemi ochronkami pojawiły się podobne zakłady w fabrykach, a jak wiadomo — niema najmniejszych powodów wierzyć wraz z płatnymi reklamistami, aby ta ofiara była wyjawem, niewymagającym odpowiedniej wzajemności. Przeciw temu świadczy i ta okoliczność, że ochronka fabryczna stała się niemal zasadą w każdem przedsiębiorstwie, o ile ono zatrudnia wiele kobiet. Chodzi wprost o to, aby dając opiekę dziecku, jednocześnie wyrządzić matce inne dobrodziejstwo — ćwiczenia mięśni w pracy pozadomowej. Lecz te środki prywatno-patryarchalne starczyły póty, dopóki żądań było mało lub póki szło o jakieś ustronie przemysłowe. Tymczasem w wielkich ogniskach przemysłu postać rzeczy zupełnie się zmienia. W tych miejscach armia odwodowa najmicka, żądna, lecz nieposiadająca zarobku, jest zbyt liczną, i natłok kobiet na rynku pracy olbrzymi. Tutaj sam zakład niema już najmniejszego powodu łożenia na ochronki i odgrywania tak nieprzypadającej mu do twarzy roli opiekuna, kandydatek bowiem zawsze się znajdzie mnóstwo, przekładających pozostawienie dziecka bez opieki nad pozostawienie go bez pokarmu. Zjawia się konieczność wdania się władz publicznych. I oto jesteśmy u progu wytworzenia się szczególnego szkolnictwa — dla dzieci, które zaledwie nauczyły się chodzić po ziemi. Dzisiejsza chwila jest właśnie epoką takiego unarodowienia w wychowaniu. Dorywczy nasz przegląd postępów w tej mierze zaczniemy od Stanów Zjednoczonych, tej krainy humbugów, lecz jednocześnie i olbrzymich doświadczeń społecznych. Istnieją tutaj tak zwane *she-towns*, po naszemu niby „miastababie," w których na 51 kobiet posiadających zajęcie przypada jedynie 35 mężczyzn pracujących. Wobec tego muszą też istnieć szkółki, zastępujące opiekę matczyną. Sprawozdanie bostońskie z 1889 r. głosi, że w tem mieście municypalność utrzymuje już dzisiaj swoim kosztem 19 ogródków dziecinnych z 32 wychowawczyniami. Dla dozoru nad temi urządzeniami, dla dalszego rozwoju itd. ustanowiono szczególny urząd: Kindergarten-Committee wraz z odpowiednimi kursami dla kształcenia i wyrabiania nauczycielek. Co godniejsza uwagi, wychowawczyni z ogródka, to istna druga matka, nietylko dozoruje dzieci podczas bytności ich w szkółce, lecz obowiązana jest stale uczęszczać do domów rodzicielskich, zachęcać, aby dziecko chodziło regularnie do zakładu i nawet wpływać i pokonywać opór rodziców. W innem mieście, w Saint-Louis, już w 1883 r. znajdowało się 64 ogródków dziecinnych na utrzymaniu municypalnem. A w jednem i drugiem przypadku unarodowienie nastało wtedy, kiedy już filantropia z fabryką dały początek, łapczywość zaś przedsiębiorska poczęła z niańczenia i dozorowania dzieci czynić pokaźne źródło dochodów, naturalnie z uszczerbkiem dla zdrowia wychowańców. Dzisiaj ta sprawa już tak stoi w Stanach Zjednoczonych, że zaczynają powszechnie mówić o tem, aby przy każdej elementarnej szkółce publicznej istniały niezbędnie niższe oddziały — ogródki dla dziatwy od roku trzeciego.

I w Europie rozwój w tym kierunku idzie niemniej silnie. W jednej Szwajcaryi ogródków dziecinnych znajduje się 544, nie o wiele mniej, niż u nas szkółek wiejskich. Zwłaszcza daleko posunęły się Anglia i Francya. W Londynie, przy każdej publicznej szkółce elementarnej znajdziemy salę z napisem: oddział drobnych dzieci (infant department). Roztwórzmy drzwi a zobaczymy na podłodze mnóstwo dzieciaków, tak małych, że niepodobna sadzać je na ławki. Sprawozdanie urzędowe z r. 1888 głosi, że 6,511 „uczniów" nie miało jeszcze lat 3 wieku. Dość powiedzieć, że obecnie już 50% całej dziatwy w wieku lat 3—7 uczęszcza w Anglii do takich ogródków publicznych. „Infant schools (podobne zakłady prywatne noszą nazwę niemiecką: Kindergarten) stanowią tam już dzisiaj podobnie nieodłączną część każdego porządnego zakładu szkolnego, utrzymywanego przez parafię, jaką jest szkółka dla dzieci w wieku starszym." Dla Francyi mamy pod ręką jeszcze szczegółowsze dane. Sprawozdania urzędowe z lat 1886—1887 głoszą, że szkół macierzyńskich znajdowało się wtedy ogółem 6,090 z 9,212 różnego stopnia wychowawczyniami; w liczbie 3,577 zakładów było na utrzymaniu państwowym, reszta zaś czerpała z funduszów prywatnych, zwykle pochodzenia filantropijnego. Szkoły macierzyńskie, będące na budżecie państwowym, znajdowały się w 2,000 gminach i dawały przytułek olbrzymiej liczbie 500,000 dzieci! Wydatki ze strony państwa na te cele wynoszą około 5 mil. franków. Opieka nad drobiazgiem społecznym nie ogranicza się jedynie do dania mu przytułku. W większych ogniskach, np. w Paryżu, Bordeaux, Lyonie, Saint-Etienne i in., uboższe maleństwa otrzymują jeszcze posiłek; w pojedynczych okręgach stolicy rozdawany on bywa codziennie tysiącom dzieci, dokarmianych w ten sposób przez społeczeństwo. Według rozporządzenia z r. 1881 szkółka macierzyńska winna znajdować się zawsze na parterze, posiadać pokój dla rodziców przychodzących po dziecko, 2—3 izby do zabawy, ogródek, wreszcie kuchnię dla przygotowania lub odgrzewania pokarmów. Postanowiono też połączyć szkołę macierzyńską z zakładami szkolnymi dla starszych dzieci, ażeby brat lub siostra wyższych oddziałów mogli zastąpić rodziców w przyprowadzaniu i odprowadzaniu maleństwa. Zresztą, prócz rozszerzenia tych szkółek i wyrobienia poważnych sił wychowawczych, dzisiaj chodzi głównie o odpowiedni program — o wyzwolenie maleństwa z pod tradycyj czasów filantropijnych.

(D. n.).

J. Wojewódzki.

---

kształcenia rozdrobniło waszą społeczność na klasy, które poniekąd spoglądały wzajem na siebie jako na odmienne rasy. A jednakże różnica pomiędzy dniem wczorajszym a dzisiejszym nie jest tak znaczna. Mężczyźni i kobiety zpośród waszej klasy wykształconej nigdyby nie przyjęli jakiejś usługi od równych sobie, gdyby mieli się cofnąć przed oddaniem podobnej. To samo mamy i dzisiaj. Równość materyalna i duchowa, z której obecnie wszyscy korzystamy, uczyniła nas ludźmi tej samej i jedynej klasy, odpowiadającej najlepiej uposażonej warstwie waszej epoki. Bez tego wyrównania warunków życiowych idea o solidarności i braterstwie wszystkich ludzi nigdyby nie zdołała stać się powszechnym dobytkiem i zasadniczą sprężyną czynów. Co u was było górnolotnem, ale pustem słowem, dla nas jest prawdą moralną.

— Czy i usługi kelnerskie należą do tych, które ktoś wybiera dobrowolnie? — zapytałem.

— Nie — odrzekł dr. Leete. Kelnerzy należą do szarej masy prostych pracowników, którym poleca się spełnianie różnych robót, niewymagających szczególnej zręczności lub wprawy. Każdy młodzieniec musi przez pewien czas usługiwać przy stole. Kiedyś, przed laty 40, ja sam spędziłem kilka miesięcy w tym samym gmachu jako kelner. Nie wolno bowiem zapominać, że jednako poważamy wszystkie potrzebne narodowi usługi. Jednostka bynajmniej nie uważa siebie za sługę tej osoby, której polecenia spełnia, ale za znajdującą się w służbie ogółu. Zajęcia kelnera są podobnie szanowane, jak każdego innego robotnika; że on oddaje usługi pojedynczym osobom, okoliczność ta niema najmniejszego wpływu. Lekarz przecież znajduje się w tem samem położeniu. Kelner mógłby z taką samą słusznością pogardzać mną, swoim lekarzem osobistym, jak ja kelnerem.

Po obiedzie oprowadzono mnie po gmachu. Jego rozmiary, wspaniałość architektury, zbytek w umeblowaniu zdjęły mnie podziwem. Nie był to tylko prosty budynek obiadowy, lecz olbrzymi dom rozrywki dla całej dzielnicy z możliwemi urządzeniami w tym względzie.

— Możesz się pan przekonać — mówił dr. Leete — jak okazale ubiega nasze życie publiczne w porównaniu z prywatnem. Nie chcemy zbytecznego ciężaru na swoich barkach i w domu posiadamy sprzęty niezbędne dla własnej wygody; natomiast urządzenie naszego życia publicznego przewyższa wspaniałością wszystko, co dotychczas świat oglądał.

SPRAWY ZDROWIA.

Znaczenie gorączki w medycynie—dawniej i obecnie.— Kilka słów o makrobiotyce, czyli długowieczności. — W sprawie materyalnego bytu lekarzy u nas.

Podwyższenie ciepłoty organizmu towarzyszy, jak wiadomo, bardzo wielu chorobom ostrym i przewlekłym, wywołuje liczne, współrzędne przypadłości i następstwa, skutkiem czego gorączka zwracała zawsze na siebie uwagę. W rozmaitych czasach, rozmaicie się na ten objaw zapatrywano, uważając go już to za sprzymierzeńca, już to za wroga. Starożytni lekarze utrzymywali, że gorączka jest jedną z sił leczniczych natury — nie walczyli z nią przeto wcale. W średnich wiekach przekonanie to jeszcze bardziej się utrwaliło, wywołując późniejszą energiczną opozycyę przeciw zastosowaniu chininy. Ówcześni lekarze znali i oceniali, co prawda, szkodliwe strony gorączki, lecz uważali je za konieczne złe, które samo przechodziło. Silny cios tym pojęciom zadała nowsza szkoła, która, na podstawie badań anatomo-patologicznych, przekonała się naocznie o wynikach działania gorączki na tak ważne narządy wewnętrzne, jak wątroba, śledziona, nerki, serce, mięśnie, nerwy itd. Odtąd zaczęto energicznie zwalczać gorączkę nietylko środkami wewnętrznymi, lecz i zewnętrznymi, na zasadzie których rozpowszechniło się wodolecznictwo, czyli hydroterapia. Metodą tą leczono wszystkie niemal ostre choroby, nawet tyfusy i zapalenia płuc, a gorączce tak ważne i groźne przypisywano znaczenie, że zapominano o innych objawach. Rezultaty, otrzymywane w klinikach, znakomicie potwierdzały wywody teoretyczne; zapomocą nowej metody, bronionej zwłaszcza gorąco przez Liebermeistera, udało się obniżyć śmiertelność przy tyfusie brzusznym z 15—20% do 5%. Pomimo takich wyników nauka, idąca wciąż naprzód, poczęła głębiej zastanawiać się nad znaczeniem gorączki i wówczas zauważyła, że bardzo wiele chorób niebezpiecznych przebiega bez niej, jak np. trąd, przymiot, wścieklizna; dalej, że niektóre, pomimo silnej gorączki, przechodzą bardzo łagodnie i szczęśliwie (tyfus powrotny, zapalenie migdałków itp.) inne zaś przy lekkiej nawet gorączce stają się niebezpieczne dla pacyentów (tyfusy brzuszne, dyfteryty, zapalenia płuc kataralne itp.). Z faktów tych wyprowadzono słuszny wniosek, że gorączka nie stanowi jeszcze o niebezpieczeństwie samej choroby. W dalszym ciągu dostrzeżono, że ona, przypadkowo zjawiając się w przebiegu niektórych niegorączkowych, lecz zakaźnych chorób, przyśpiesza leczenie.

Spostrzeżenia te i myśli skłoniły d-ra Dochmanna, docenta na uniwersytecie kazańskim, do szczególnego i doświadczalnego zbadania tej sprawy. Pracował on w instytucie prof. Kowalewskiego, a za ofiary nauki wybrał koty. Zastrzykiwał im pod skórę roztwór kurary, silnej trucizny indyjskiej. Umieszczał koty, po zastrzyknięciu im roztworu kurary, w skrzyni ogrzewanej, której ciepłotę można było dowolnie podwyższać. Otóż zwierzęta, pozostając w tej łaźni, uwalniały się od zgubnego wpływu jadu i już po jednej lub dwóch godzinach poruszały kończynami, pomimo że im powtórzono dawkę. Niepoddawane zaś działaniu wysokiej temperatury, po małych dawkach pozostawały przez cztery godziny nieruchome, a po większych — w kilka minut ginęły.

W jaki sposób działa ciepłota w tym wypadku — nie wiadomo; sądzono z początku, że ułatwia ona wydzielanie się szybsze jadu przez nerki, lecz doświadczenia tegoż autora, który po podwiązaniu tętnic nerkowych zupełnie też same otrzymał rezultaty, przeczą temu przypuszczeniu. Skutkiem tego utrzymuje Dochmann, że podwyższona ciepłota obdarza komórki tkanek większą odpornością, a pogląd ten znajduje poparcie w dawniejszych badaniach M. Szultzego i Miecznikowa, którzy wykazali, że ruchy, a zatem i żywotność białych ciałek krwi stają się energiczniejszemi przy sztucznem podwyższeniu ciepłoty, i że ciałka te, zwane *fagocytami*, daleko żwawiej pochłaniają w tych warunkach laseczniki, czyli mikroorganizmy, wywołujące choroby zakaźne.

Wobec takich wyników wiedzy, szczególniej ważnem jest dla świata lekarskiego i pacyentów dalsze szczegółowe zbadanie zachowania się trucizn organicznych, jako też hodowli zarodników chorobotwórczych w ciele zwierzęcem i ludzkiem, systematycznie ogrzewanem sztucznie lub też gorączkującem. Naturalnie nie idzie zatem, by lekceważyć należało gorączkę, choćby tylko ze względu na wspomniane powyżej objawy anatomo-patalogiczne; z drugiej jednak strony nauce przybędzie z czasem nowa, a przeciwna obecnej, metoda *pyretyczna* (gorączkowa), która znajdzie szerokie zastosowanie w leczeniu chorób zakaźnych, obok obecnych metod antyparazytarnych.

Jak człowiek chory życzy sobie co prędzej wyzdrowieć, tak znów zdrowy nietylko nie myśli o chorobie, lecz wszelkiemi siłami pragnie przedłużyć trwanie własnego życia. *Makriobiotyka* jest właśnie nauką ponętną, uczącą tego kunsztu. W dawniejszych czasach powszechnie jej hołdowano i silono się nad wynalezieniem środków przedłużenia bytu ludzkiego; dzisiaj racyonalne zasady wiedzy ochłodziły zapał, wyjaśniwszy gruntownie, że śmierć jest warunkiem życia, koniecznem jego następstwem i że życie każdego gatunku ma przez naturę zakreślone granice maksymalne, po za które przejść niepodobna. Chodzi więc obecnie o to tylko, aby przynajmniej tych granic dosięgnąć, a ogół ludzkości pożądliwem spoziera okiem na nielicznych stuletnich starców, badając skrupulatnie, jaką drogą do tak późnej doszli starości. Słynny antropolog i fizyolog, prof. Paweł Mantegazza oddzielną broszurę poświęcił tej sprawie*). Obecnie również znany uczony, Pflüger, prof. fizyologii, dzieli się ze światem swemi wiadomościami w artykule umieszczonym w *Revue scientifique* (r. 1890, nr. 14).

Rozpraszając zbyt optymistyczne nadzieje ludzkości, powiada on, że śmierć leży w samej naturze człowieka, a żadna wiedza nie potrafi obronić nas od zgonu. Starość i zanik rozpoczynają się bardzo wcześnie, bo od dnia urodzenia. Fakty wykazują, że rozwój, wzrost i waga ciała ludzkiego w miarę lat coraz bardziej zmniejszają się; najsilniejsza produkcya sił i tkanek zachodzi u płodu, w łonie macierzyńskiem, potem z każdym rokiem upada. Tak np. nowonarodzone dziecię waży 3,000 do 3,500 gramów, pod koniec pierwszego roku— 9 kilogramów, waga jego potroiła się zatem; w ciągu zaś drugiego roku waży ono 11—12 kilogramów, czyli że w ciągu tego czasu przybyło zaledwie 2 — 3 kilogramów. Do 16 roku względne te straty są nieznaczne, człowiek nabiera potrosze sił, wagi i wzrostu, aż do trzydziestego. Odtąd do czterdziestki niema straty, ani przybytku, lecz następnie ubytek staje się z każdym rokiem coraz widoczniejszym, aż do śmierci. Przeciętny wiek człowieka wynosi zaledwie 35 lat. Wyjątkowo jednak człowiek może dosięgnąć 150, a nawet 200 lat wieku. Tomasz Parre, anglik, umarł 153 roku; mając 101 lat został ukarany sądownie za występek przeciw moralności, w 120 r. ożenił się powtórnie z wdową, która wcale nie uskarżała się na jego wiek lub zgrzybiałość; w 130 r. wykonywał ciężkie roboty, na które ponownie został skazanym. Jenkins, który umarł w Yorkshire w 1670 roku, miał 169 lat, a dwóch jego synów liczyło po 100 i 102 lat i żyli potem jeszcze jakiś czas. Kentigern, znany pod mianem św. Mungo, fundator dyecezyi glasgowskiej, umarł w 185 roku. Wszystkie te fakty są wiarogodne i źródłowo sprawdzone.

Długowieczność jednak bywa wypadkiem rzadkim, a choć pozornie wydawaćby się mogło, że jest ona właściwością normalną ludzkości, jednakże spostrzeżenia przekonywają, że nawet nieprawidłowo zbudowani ludzie mogą dosięgać bardzo późnego wieku. Tak np. Walsen, karzeł, umarł w 115 roku życia; Donald, olbrzym w 120 r.; Manleny miał krótką szyję i wysokie ramiona, a umarł w 120 r., choć przez całe życie ciężko pracował; Nikolina Mare, 110-letnia kobieta, była służącą przez całe życie, a prawa górna jej kończyna była w stanie zaniku; nadto miała ona garb na plecach.

Z tych przykładów wynika, że długowieczność nie przejawia się wcale wzorową budową ciała.

Pijaństwo skraca trwanie życia, umiarkowane jednak użycie wina i piwa nie działa szkodliwie. Niektórzy pijacy dosięgali bardzo późnej starości, a byli pomiędzy nimi tacy nawet, którzy upijali się co wieczór. Nie dowodzi to wcale, by pijaństwo utrwalało zdrowie, lecz przekonywa o wielkiej odporności organizmu takich osobników.

Użycie napojów podniecających, szczególniej kawy, również niekorzystnie wpływa na długowieczność; pomimo to niejaka pani Durieux żyła 114 lat, chociaż codziennie wypijała przeszło 40 filiżanek kawy czarnej, w czem jej chyba żaden arab nie dorówna.

Długiemu życiu najbardziej stoi na przeszkodzie uciążliwa praca w kopalniach, sprzyja mu zaś zajęcie w polu, w gospodarstwie.

Z podanych szczegółów wynika, że długowieczność nie zależy ani od budowy ciała, ani od rodzaju zajęcia, ani od żadnego specyalnego sposobu życia, ani też od żadnych szczególnych środków, lecz jedynie od *wrodzonego usposobienia*, opartego na dziedziczności. Najważniejszem zadaniem makrobiotyki jest więc przeciwdziałanie, tj. usunięcie lub przynajmniej osłabienie przyczyn chorób, szczególniej zaraźliwych. Stosowne urządzenia sanitarne, hygieniczny sposób życia pod każdym względem, małżeństwa pomiędzy ludźmi zdrowymi, w odpowiednim wieku, umiarkowane zajęcie, staranne unikanie choroby, troskliwe jej pielęgnowanie — oto jedyne zasady, a zarazem cele makrobiotyki.

Tyle opowiedziawszy czytelnikowi o długowieczności wogóle, a zatem o jego własnem życiu, ośmielam się zająć go na chwilę sprawami bytu lekarskiego, o których, choć go osobiście nie obchodzą, pozwoli mi pomówić, bodaj przez grzeczność wzajemną, no i — ze względu na interes społeczeństwa.

Zwiększająca się z każdym rokiem ilość lekarzy nasuwa nietylko im samym coraz smutniejsze myśli o jutrze, lecz nawet społeczeństwu całemu, pośrednio i bezpośrednio w tem zainteresowanemu. Utrzymują zazwyczaj, że ilość ta, w stosunku do ogółu mieszkańców, nie jest nadmierną. Bliższe wpatrzenie się w tę sprawę przekonywa, że nadmiar już istnieje, nietylko w miastach gubernialnych i powiatowych, lecz nawet w miasteczkach. Niższe sfery społeczne nie szukają porady u lekarzy; wyzyskują je felczerzy, znachorzy i akuszerki. W wielkich miastach tylko kilku, kilkunastu lub kilkudziesięciu (w Warszawie) lekarzy cieszy się praktyką, wystarczającą na przyzwoite utrzymanie. Pomimo to ilość wstępujących na medycynę wzrasta z każdym rokiem, gdyż i inne zawody mało dają nadziei na przyszłość. Wobec tak smutnych warunków koniecznem jest, aby lekarze

*) P. Mantegazza: *Sztuka długiego życia*. Tłomaczył, dr. L. W. Warszawa.

sami energicznie zajęli się poprawą losu własnego, a da się na tem polu wiele jeszcze zrobić, lecz nie usiłowaniami jednostki, jeno łącznemi. W sprawie tej zajął głos dr. Arenstein, praktykujący od lat kilkunastu na prowincyi. W *Kronice lekarskiej* zwraca on uwagę kolegów, aby przedewszystkiem nie rzucali się do studyów, póki warunki nie poprawią się; dalej wzywa władze, aby ograniczyły panowanie felczerów i akuszerek (a także znachorów, hypnotyzerów, masażystów itp.), wreszcie przypomina aptekom, że nie wolno im wydawać lekarstw, zapisywanych przez nielekarzy, co jednak dzieje się nawet w Warszawie. W żadnym kraju lekarze nie są tak obojętni na sprawy zawodu własnego, jak u nas; w żadnym tak niezapobiegliwi, tak ufni losowi, tak mało dbający o byt własny materyalny, w żadnym tak mało solidarni pomiędzy sobą, tak niewrażliwi na konkurencyę postronnych żywiołów. Domaga się zatem autor: zamknięcia szkoły felczerskiej, jako zupełnie zbytecznej wobec dostatecznej już ilości lekarzy, energicznego występowania lekarzy urzędujących (inspektorów powiatowych) w poskramianiu działalności felczerskiej i wytworzenia posad lekarzy gminnych, na co gminy chętnie by się zgodziły, a ludność wiejska przyzwyczaiłaby się do szukania porad u lekarzy, zamiast u wyzyskujących ją i oszukujących felczerów. Czy rzucony projekt pozostanie tylko na papierze, czy też przejdzie w czyn? W każdym razie zasługą jest d-ra Arensteina, że odważnie wystąpił w tej kwestyi, nie obawiając się następstw, jakich niewątpliwie dozna ze strony interesowanych pseudo-konkurentów, zamieszkałych w mieście jego działalności praktycznej. Projektowi autora gorąco należy się poparcie; czas już wielki, by w sprawę tę zajrzały władze wykonawcze i zmieniły obecne warunki egzystencyi wielu lekarzów, którzy znacznie mniej nieraz zarabiają, niż najprostszy felczer, a obciążeni są bez porównania większą odpowiedzialnością i obowiązkami społecznymi.

Dr. L. W.

LISTY WIEDEŃSKIE.

31 maja.

Z wystawy rolniczo-leśnej.

Jak corocznie niemal, tak i teraz urządzono w Wiedniu wielką wystawę, trwającą przez cały sezon letni. Odpowiada ona przedewszystkiem interesom miasta: idzie o to, aby przywabić gości zagranicznych, aby przemysłowcy wiedeńcy wystąpić mogli z gustownymi wyrobami, wreszcie aby sami wiedeńczycy mieli jakieś igrzyska, nieodzowne dla ich temperamentu. Mniejsza więc o tytuł i program wystawy, które odbiją się zawsze tylko w zewnętrznym niejako jej kostiumie. Wre tedy życie pełne na placu: wiedenki występują w świeżych toaletach, parę orkiestr przygrywa hucznie, pawilony, w których można kosztować próby wina i piwa, oblegane są od rana do późnej nocy; reporterowie uwijają się skrzętnie, zapisując drogocenne słowa każdego z arcyksiążąt zwiedzających wystawę, słowem, znowu się coś dzieje w Wiedniu.

Wystawa mieści się w wielkiej rotundzie, zbudowanej niegdyś dla powszechnej i w szeregu pawilonów wzniesionych w Praterze. Widzimy tu naprzód przepyszny pawilon cesarski, jaśniejący białością alabastru, złotem i czerwienią, podobny do świątyni wschodniej. Środek rotundy zajmuje fontanna, otoczona grupami roślin i akwaryami. Są tu przeważnie wyroby przemysłu wielkiego i domowego, dalej przybory myśliwskie. Wchodząc bramą zachodnią, znajdujemy się na olbrzymiej drodze, wysadzonej lampami elektrycznemi. Na środku jej urządzono wodotryski barwne na wzór paryskiej *fontaine lumineuse*. Z obu stron szeregi pawilonów. Na lewo, oprócz licznych, drobnych, pawilon Rumunii, Włoch i Francyi, dalej t. zw. Herrenhaus, w którym mieszczą się szeregi apartamentów urządzonych przez stolarzy wiedeńskich i dzieła sztuki, przeważnie rzeźby. Na prawo rozsiany również cały szereg pawilonów prywatnych, nadto zaś stoją tu wielkie pawilony ministeryum rolnictwa, historycznej wystawy myśliwskiej, przemysłu ekonomicznego, domowego i pawilon Szwecyi.

Równolegle ciągną się po prawej stronie rotundy zabudowania, mieszczące produkty leśnictwa, chmielarnię, plac dla bydła i rozległe stajnie.

Zajrzyjmy do rotundy. Czwartą część olbrzymiej tej budowy zajmują Węgry. Na parterze umieszczono wozy, wyroby skórzane, produkty górnicze i leśne, głównie zaś wytwory węgierskiego przemysłu domowego. Widzimy tu barwne hafty, plecione dywany, kilimki, dalej dzbany, flaszki i puhary z majoliki chłopskiej, świecącej glazurą. Narodową wieżę Eiffla zbudowano — z papryki; w dziale austryackim odpowiada jej budowa o podobnych kształtach, związana ze sznurów i motków barwnych. Na estradzie rozłożono próby wełny, jedwabiu, nasiona i zgrabne modele dla budownictwa wodnego. Galeryę, okalającą środek rotundy, zajęły wystawy zbiorowe poszczególnych komitatów węgierskich.

Przemysł austryacki zajmuje trzy czwarte rotundy. Na pierwszym planie znajdujemy tu naturalnie wyroby, mające pewien związek z gospodarstwem rolniczem i leśnem. A więc: kosy, produkty chemiczne, wyroby metalowe; wpada tu w oko wschodni pawilon wyrobów koszykarskich, dalej wystawa wzorowych urządzeń kuchennych. Czechy i Morawia wystąpiły ze zbiorowemi wystawami produktów rolniczych.

Malowniczym jest widok wystawy myśliwskiej. Z pni i gałęzi surowych zbudowano szereg pawiloników i kolumnadę łukami przesklepioną, pokrywając cały ten dział sieciami myśliwskiemi i girlandami z liści dębowych. W pysznych tych namiotach widzimy niepospolitej piękności okazy niedźwiedzi, dzików, wilków i rysiów, zabitych w lasach austryackich. Celuje tu Galicya zwierzyną wystawioną przez Dzieduszyckiego i Sapiehę. Rotschild kazał wznieść plastyczny krajobraz górski, na którym zgromadził całą zwierzynę alpejską; pawilon ten wywiera istotnie czarowne wrażenie. Humorystycznem uzupełnieniem tego działu jest zbiór starych, zepsutych strzelb, odebranych złodziejom leśnym.

Stwosz.

BADANIA NAUKOWE.

KARTKI NAUKOWO-ARTYSTYCZNE.

Ujednostajnienie miar. Pod wpływem rozwoju stosunków międzynarodowych spostrzegamy dość ciekawą dążność praktyczną w kierunku uproszczenia miar, używanych w poszczególnych krajach międzynarodowego obszaru wymiennego. Dotychczasowe powstawały zwolna w przeciągu wieków; nazwy wielu, np. „stopa,“ „łokieć,“ jasno wskazują, że niektóre członki ciała ludzkiego były tutaj nieraz głównym punktem wyjścia. Każdy kraj i nawet każda okolica wyrobiły sobie w ten sposób odmienne miary; rozmaitość ta nie powodowała żadnych złych skutków, dopóki stosunki wymienne nie wybiegały po za granice miejscowe, lecz w miarę wzrostu wymiany pomiędzy oddzielnymi krajami musiała się okazać wysoce niestosowną. Można było zgóry przewidzieć, że tę przeszkodę wypadnie prędzej czy później usunąć. Z powyższą sprawą łączy się jeszcze inna. Podział miary na niższe jednostki w każdym zakresie zjawisk wyglądał inaczej — stosownie do warunków historycznych powstawania; mila posiada 7 wiorst, wiorsta 500 sążni itd., tymczasem pud ma 40 funtów, funt 32 łuty. Kto kształcił dziatwę, wie, ile jest kłopotu z wyuczeniem jej tej zawiłanej tablicy, nieposiadającej krom zwyczaju żadnych tytułów do usprawiedliwienia swego bytu. System dziesiętno-metryczny francuski usuwa tę niedogodność, upraszczając w najwyższym stopniu stosunki wzajemne niższych i wyższych miar. Właśnie stoimy dzisiaj wobec prawdopodobieństwa, że system ten stanie się wkrótce obowiązującym na całym obszarze wymiennym. W r. 1867 Akademia nauk w Petersburgu zwróciła się do oddzielnych rządów z projektem ujednostajnienia wag i miar długości. W 1870 zebrał się dla tej sprawy kongres uczonych i dyplomatów, w r. 1875 zaś już 16 państw przystąpiło do umowy (Niemcy, Austro-Węgry, Belgia, Dania, Szwecya z Norwegią, Rosya, Hiszpania, Włochy, Francya, Portugalia, Turcya, Peru, Argentyna, Venezuela, Związek północno-amerykański), później zaś Wielka Brytania i Japonia. Postanowiono wygotować prawzory międzynarodowe metra i kilogramu; utworzono w tym celu biuro międzynarodowe, które zajęłoby się wypełnieniem tego obowiązku i w przyszłości strzegło owych prawzorów i porównywało z nimi wzory krajowe. Rozwiązanie samego zadania napotykało wiele trudności technicznych i zaledwie przed rokiem zostało ukończone. Zjazd międzynarodowy dyplomatów, który odbył się w Paryżu podczas wystawy, przyjął wykonane prawzory, uznając w imieniu związanych umową państw urzędowo system metryczny, jako obowiązujący, co zresztą dla wielu krajów jest jedynie uprawnieniem już istniejącej rzeczywistości. Podobnie od lat kilku toczą się żywe rozprawy i zjazdy międzynarodowe co do uznania jakiegoś południka za pierwszy i stworzenia w ten sposób ogólnie przyjętej podstawy dla utrwalenia czasu powszechnego. Szowinizmy narodowe hamują wszakże zakończenie tej sprawy. Anglicy francuzom, francuzi zaś anglikom nie chcą uczynić najmniejszego ustępstwa. Zdaje się jednak, że obie strony gotowe byłyby zgodzić się na — Jeruzalem. Rzecz dziwna, jak tradycya, często zupełnie przebrzmiała, ciąży całe wieki na pokoleniach dalekich!

Przy sposobności warto zaznaczyć inne próby ujednostajnienia chaotycznych, lecz przekazanych przez przeszłość sposobów mierniczych. W *Revue scientifique* niejaki p. Bailly wnosi, że należałoby mnóstwa codziennych i naukowych pomiarów oprócz na systemie dziesiętnym, jako przedstawiającym nader liczne korzyści przy mnożeniu itd. Między innemi żąda, aby dobę dzielono na 10 godzin, godzinę na 100 minut, minutę na 100 sekund. Podobnież domaga się, aby kąt prosty miał 100 stopni, stopień — 100 minut itd. Rzecz godna uwagi, że wszystkie te przeobrażenia naukowa myśl ludzka podniosła po raz pierwszy podczas wielkiej Rewolucyi... Z tą kwestyą wiąże się jeszcze inna: uproszczenie symbolów dla oznaczenia miar wyższych i niższych. Mamy nawet w tym przedmiocie przez koła naukowe przygotowany projekt. Nie przedstawiamy go szczegółowo, zaznaczamy jedynie źródło istotne tych najrozmaitszych ujednostajnień, które dla jakiejś duszy poetycko-archeologicznej wydawać się mogą zamachem na tradycyę i swobodę indywidualną. Wielka wzrasta niepomiernie, wiedza, która daje nam pojęcie o wszechświecie i zbogaca myśl naszą. Aby nabyć jej jak najwięcej, należy uprościć drogi do niej prowadzące i zaoszczędzić zużywaną energię na coś lepszego. Z tego właśnie powodu płyną te różne uproszczenia, chociażby uje-

dnostajnienie różnych miar, oparcie ich na systemie dziesiętnym tak dogodnym dla odbywania działań matematycznych itd.

Wyjałowienie mórz. Jeśli wypadnie komuś w przyszłości mówić o obecnej epoce historycznej i badać nasze zachowanie się względem skarbów przyrody, ochrzci on bezwarunkowo wiek XIX nazwą rozbójniczego. Gdziekolwiek natura ukaże jakieś bogactwo naturalne, rzucają się natychmiast tłumy wyzyskiwaczów, rabujących do szczętu znalezione łupy bez dbałości o przyszłe pokolenia, jakby rządzili się zasadą: niech po nas nastąpi potop! W tej grabieży chodzi jedynie o osobiste zbogacenie się i osobistą przyjemność. Wzorków nie potrzebujemy szukać daleko, dość wspomnieć rabunek, dokonany przez szlachtę nad lasami, których nie sadziła. Prawodawstwo w różnych krajach musiało wystąpić w ich obronie. Atoli nie wszędzie rozpostarło ono swe opiekuńcze skrzydła. Z Ameryki środkowej dają się np. słyszeć głosy, że niebawem zabraknie kolibrów na świecie: kilka milionów tych ptaszyn pochłaniają rocznie kapelusze damskie. Obecnie w sferach urzędowych Francyi podniesiono inną sprawę: wyjałowienia mórz. W pobliżu Tulonu i Marsylii dawna obfitość ryb w morzu należy do podań, którym obecnie nie każdy chce dać wiarę. W zatoce nicejskiej ichtyologia liczyła przed laty 80 do 317 gatunków; wielu i to najważniejszych dla przemysłu dzisiaj już niema. W pobliżu niewielkiego portu Cassis łowiono jeszcze w 1825 r. do 50 tysięcy kilogramów ryb; dzisiaj nie otrzymuje się nawet paru tysięcy! Zaniepokojony tym objawem rząd francuski wyznaczył w 1887 komisyę dla zbadania połowu sardynek, później inną — w sprawie śledzi. Wreszcie postawiono stanowczo pytanie, czy człowiek jest w stanie wyjałowić z ryb morze? Wyróżniono ryby „morskie,“ które tylko czasowo ukazują się w blizkości brzegów, i inne, które trzymają się ich stale. Fakty, zebrane względem ostatnich, nie pozwalają wątpić o szkodliwym wpływie nadmiernego rabunku. W liczbie ryb wybrzeżnych, zdaniem niektórych znawców, znajdują się i sardynki, stanowiące tak ważny przedmiot zarobku francuskiego a wyławiane rocznie w liczbie około miliarda. Projekty prawodawcze, chcące położyć kres temu nieograniczonemu wyzyskowi bogactw morskich, w zasadzie opierają się na tych samych podstawach, co i prawa powstrzymujące rabunek myśliwski. Lecz już na samym początku okazało się, że jeśli mają opierać się tylko na gruncie jednopaństwowym, mogą być skuteczne ledwie dla niektórych gatunków. Tymczasem nie wszystkie ryby gnieżdżą się wzdłuż wybrzeży jednego jakiegoś kraju. Śledź np. ukazuje się na przestrzeni od Grenlandyi po przez wybrzeża brytyjskie do Baltyku i morza Lodowatego. Przeprowadzenie przez Francyę odnośnego prawodawstwa naraziłoby jedynie jej przemysł, nie powstrzymując grabieży ze strony innych krajów. Ustawa, ochraniająca ryby, może być zatem międzynarodową. Jeszcze bardziej konieczność ta występuje, jeśli okaże się, iż szkodliwe wpływy człowieka są zdolne dosięgnąć i bogactw czysto oceanicznych, chociaż niektórzy o tej możliwości wątpią, twierdząc, że człowiek w porównaniu z innymi czynnikami wywiera skutek niemal żaden.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Gawalewicz Maryan: *Komedye.* (Jednoaktówki i monologi). Serya II. Warszawa, 1890.

Gdyby życie naszego społeczeństwa sprowadzało się do salonu, wtedy ocenę niniejszą musiałbym zacząć od pytania: czem jest p. Gawalewicz dla naszego piśmiennictwa? Ponieważ jednak salon, na szczęście, stanowi tylko cieplarnię dla t. z. „kwiatu towarzystwa,“ egzotycznego wprawdzie, lecz jałowego, to jest, pudełko do chowania nielicznej, lecz uprzywilejowanej klasy, przeto pytanie poprzednie musi uledz zmianie i brzmieć: jakie jest znaczenie p. Gawalewicza dla naszego życia salonowego? Zaznaczam, że — ogromne! Dopiero tak umiejscowiwszy twórczość beletrystyczną tego autora, można go i lepiej zrozumieć i właściwiej ocenić. Salon jest jego bytu literackiego ujściem i źródłem. „Z tą spokojną fizyognomią, z tym nosem pełnym łagodnego wyrazu, z temi oczyma, w których naiwność i prostota się przebija,“ — jak kogoś a może siebie określa bezwiednie w jednym z monologów („Optymista“) — czyż mógłby on gdzieindziej przebywać, jak na posadzkach salonów? Ba, nie dość tego — czyż potrafiłby on sobie gdzie lepsze znaleźć ramki, niż w eleganckim świecie kobiet? „Około ust miewam często taki melancholijny albo dobroduszny uśmiech i wtedy główkę przechylam z lekka na lewą stronę, jak pierwsza naiwna naszej komedyi; no, proszę powiedzieć, czy z taką miną można być złośliwym, nieprzyjacielem kobiet, pesymistą?“ P. Gawalewicz stokrotnie nas przekonał swojemi jednoaktówkami, monologami i inną galanteryą literacką, że nie może być złośliwym, a tem mniej — pesymistą. Jest więc naprzód przyjacielem kobiet, i to zarówno w powszedniem życiu: w teatrach amatorskich, na rautach, balach, słowem, w całem reżyserstwie rozrywkowem, jak w idealnem, w odbitce fotograficznej pierwszego, czyli w pismach swoich, szczególnie zaś w jednoaktówkach i monologach.

Nie wiem, o ile to jest dziedzicznem lub też w późniejszych kolejach życia nabytem, ale najwybitniejszą cechą towarzysko-salonową p. G. jest— „bawidamstwo“ (ukułem ten wyraz z znanego pierwiastku — „bawidama“). O potędze tego nałogu u pewnego gatunku ludzi da niejakie pojęcie wyjątek z wierszyka autora („Na raucie“):

Nieraz czujesz w krzyżu bole,
Boś noc spędził u stolika
Przy... pisaniu, w głowie strzyka,
W uszach szumi, w boku kole,
Takbyś chętnie w swym szlafroku
Drzemał sobie na fotelu
I nie robił za dom kroku...
Próżne chętki, przyjacielu!
Niech cię strzyka, niech cię boli,
Zdrów, czy też skonania blizki,
Kiedyś „człowiek towarzyski,“
W konwenansu żyj niewoli,
Pilnuj wizyt, rautów wszędy
I jour-fixów, i herbatek.
. . . .
Świat bez kobiet źle się bawi.
Jeśli życie wina czaszą,
To kobiety przy niej pieśnią,
One mu (nam) biesiadę kraszą,
Bez nich świat by zaszedł pleśnią.

I skrzydełka więzną w słodkim lepie, inteligencya układa się do długiej, jeśli nie dozgonnej drzemki. Wyobraź sobie, czytelniku, na gładkiej, lecz już pleśniejącej miejscami, powierzchni „śmietanki towarzyskiej“ — cały światek wykwintnych, naiwnych, czasem dowcipnych, lecz prawie zawsze płytkich umysłowo kobiet, a wśród nich siebie, niezmiernie tkliwego na ich wdzięki. Czujesz, że nietylko są one dla ciebie magnesem, trzymającym cię za najczulszą stronę na uwięzi, lecz i ty dla nich jesteś ożywiającą duszą towarzystwa. Spędziłeś w takiem otoczeniu chwilkę jedną i dopiero wyobraźnią byłeś tam obecny, a teraz pomyśl, iż są ludzie, którzy godziny, dnie, miesiące, lata, często życie całe w taki sposób spędzają. Para ludzka w długiem pożyciu rodzinnem użycza sobie wzajemnie nietylko swoich cech umysłowych, myśli i czuje pokrewnie, ale nawet fizycznych, uśmiecha się, chodzi jednakowo, odkrada sobie barwę i zagięcia głosu. Taki sam los bawidamków. Otoczenie ich nie wymaga zbytnich natężeń umysłowych, głębie ducha mogą sobie zamknąć się choćby na zawsze, natomiast wystąpić musi: galanterya tradycyjna, zdolność prowadzenia zręcznej rozmowy o niczem, błyskotliwa, wytworna, lecz bezcelowa gra słów i, w największej dozie — „flirt,“ to jest, wiekuiste kręcenie się około niezaspokojonych, nastrojonych chorobliwie pragnień, którym za ciasno jest w rodzinie mieszczańsko-szlacheckiej...

Wątku utworów p. G. dotkniemy tylko zlekka, o ile tego wymaga charakterystyka talentu autora. Zresztą wątek ten, szczególnie w monologach, jest prawie żaden. Jednoaktówki i monologi p. Gawalewicza nie dają się już dziś pomyśleć w oderwaniu od rozrywek naszej klasy uprzywilejowanej, i odwrotnie rozrywki — bez nich. Nie potrafiłbym wyobrazić sobte, czemby córy naszego Olimpu społecznego, a choćby nawet przedsionków jego, zdołały zastąpić na raucie lub w teatrze amatorskim jego *Barkarolę*, *Lekcyę deklamacyi*, *Guzik* lub którykolwiek z popularnych monologów, gdyby jakie fatum wcześniej, niż sądzono, zatarło ślad istnienia ich w literaturze polskiej?.. Tak się to zespoliło jedno z drugiem.

Większość utworów p. G., zawartych w niniejszym tomiku, prawdopodobnie obiegła setkę rautów i widowisk domowych w Warszawie i po za nią, jeszcze wprzód, nim się dostały pod prasę Gebethnera i Wolfa. Powodzenie ich najbardziej może świadczyć, że były przykrojone do miary gustu publiczności, dla której zostały napisane. Zawdzięczają zaś to następującym, niezaprzeczonym zaletom: są pod względem formy cackiem filigranowej roboty, zręcznością kompozycyi niedaleko odbiegają od wzorów francuskich, treścią zaś najzupełniej harmonizują z poziomem umysłów „śmietanki towarzyskiej.“ Kilka razy w intrydze rozwijanej w rozmiarach jednego aktu los rodziny zawieszany bywa na włosku, a potem ocalany ku zadowoleniu uczuć monogamicznych... A tymczasem słuchaczki w chwilce niepewności miały sposobność poflirtować nieco, połaskotać się niewinnem pobudzeniem pragnień skrytych.... Upodobanie autora w jednoaktówkach i monologach nie jest czemś dowolnem; pisał je pod naciskiem technicznej strony zabaw salonowych. Wymagano od niego, żeby dostarczał drobnych, wytwornie oprawionych zwierciadełek życia pewnej sfery towarzyskiej, a on się z obstalunków pojętnie wywiązywał.

Jego zbiorek jednoaktówek i monologów może zadowolić każdą „jednostkę estetyczną,“ pragnącą wziąć udział w systematycznie urządzonej rozrywce salonowej. Zechce np. popisać się na jakim „raucie panieńskim“ lub „młodych mężatek“ jaki trzpiot-bawidamek, odnajdzie w repertuarze p. G. z góry dla siebie napisaną sztuczkę, monolog p. n. „Optymista,“ która od początku do końca, pomimo zamiaru autora, spełniać będzie rolę szarmanckiego szmigusa. P. Gawaleczowi wybornie się udaje satyra ułomności niewieścich. Wkłada ją do flakonika przedniego gatunku pachnidła i zapomocą syfonika strzela w przedmiot swej napaści — wonną mgłą... Jak go światek kobiecy niema lubić? Jeśli jakiej miłej a młodej jeszcze mężatce, która ma czarującego, lecz rozpieszczonego „milusińskiego,“ przyjdzie ochota wziąć udział w raucie na jaką ochronkę, monolog p. n. „Smok“ posłuży jej za wyborną formę artystyczną do wyspowiadania się z estrady przed tuzinem innych matek — z radości macierzyńskich...

Pan Gawalewicz ma palce iście kobiecem wirtuozostwem obdarzone: jakiego tylko pasma życiowego swojej sfery się dotknie, daje nam koronkę subtelną, wachlarzyk kunsztowny lub inną jaką rzecz, kwalifikującą się do bazaru pracy kobiet—tyle

posiada niewieściej pieszczotliwości w stylu. Jednego darować mu nie mogę, skąd mu przyszedł pomysł (w „Figlu Benwenuta Celliniego“) na plecy tytana myśli i sztuki, Michała Anioła, wkładać płaszcz arlekina?

Zyg. Piet.

DWA SALONY.

Paryż, 24 maja.

Dwa Salony! — jeden stary przy Polach Elizejskich, drugi młody na Polu Marsowem w Pałacu sztuk pięknych, pozostałym po zeszłorocznej wystawie... Prawdziwy zalew róż, wysypanych z majowego rogu obfitości. Tyle obrazów, tyle płócien! W pierwszym Salonie 2,400 — w drugim około 2,000. I wszystko to produkcya jednoroczna, przeważnie francuska. Zeszłoroczny wysiłek wystawowy odbił się jednak nieco, nie tyle na ilości, ile na jakości obecnego plonu Salonów; powiedzielibyśmy, szarzyzna — gdyby kolor ten nie był wykluczony z palet malarskich, hołdujących dziś przedewszystkiem słońcu, potem wolnemu powietrzu a następnie barwom jaskrawym, lub fioletowej, która cieszy się wielkiemi względami malarskich impresyonistów. Kto zaś dziś we Francyi i wszędzie, gdzie sięga wpływ malarstwa francuskiego, nie jest impresyonistą? Zatarły się początkowe chropowatości, kanty i dziwactwa szkoły, która już zresztą zapomniała, że była kiedyś młodą i miała swoje wybryki, obok idei. Idee nie bardzo się jakoś skrystalizowały i szkoła nie wyrobiła się jako całość odrębna o wyrazie jasno określonym. Reformatorskie natomiast ulepszenia przyjęte zostały, w części przynajmniej, przez większość malarzy. Wszyscy są potrosze impresyonistami, atoli bez przekraczania odpowiedniej miary i wszyscy kłaniają się jeszcze starym mistrzom, nie zrywając z nimi całkowicie. Taki Puris de Chavannes, który, na tle impresyonistycznem, stworzył całkiem odrębny rodzaj malarstwa, przeważnie dekoracyjnego, jest wyjątkiem.

Są zresztą malarze, których nie dotknął wcale prąd reformatorski; stali bowiem już na górze, kiedy dołem przeciągały różne zawieruchy. Takimi są dwaj mistrze, dwie głowy dwu rywalizujących z sobą Salonów: Bouguereau i Meissonier. Pierwszy patronuje Salonowi z Pól Elizejskich, drugi Marsowemu Polu; pierwszy też jest klasykiem czystej wody, „Rafaelistą“ — drugi nie jest bynajmniej ani *prae* ani *post* Rafaelistą, lecz poprostu utalentowanym a jak chcą niektórzy— genialnym miniaturzystą. Bouguereau obdarzył stary Salon dwoma obrazami: „Święto niewiasty u grobu“ i „Żebraczki,“ młode dziewczęta — Meissonier dał mały obrazek, zawieszony na wielkiej ścianie (inne odsunęły się z respektem, zostawiając wiele pustego miejsca w około), przedstawiający w małych rozmiarach wielkiego Napoleona z r. 1806, na polu bitwy.

Po za mistrzami spotykamy gwiazdy drugiego rzędu. Na Polach Elizejskich: Detaille, Flameng, Gérome, Benjamin Constant Rochegrosse, Juliusz Breton, Bonnat, Lafebvre i wiele, wiele innych trzecio i czwartorzędnych wielkości. Mówiąc o tem stopniowaniu nie przyjmujemy go bynajmniej za zasadę i miarę oceny, lecz mamy jedynie na myśli rozgłos i sławę, jaką już zdobyli sobie panowie wystawcy. Gdyby przyszło oceniać jedynie według zasług i talentu — wielu wywyższonych byłoby poniżonych i wielu maluczkich weszłoby do niebieskiego królestwa sztuki. Nie mamy jednak ani czasu, ani miejsca dla urządzania sądu ostatecznego na wielkiej dolinie Pól Elizejskich i Marsa. Nadmienimy natomiast, że gwiazdami drugiego rzędu w drugim Salonie są: Carolus Duran, Lehrmitte, Roll, Duez, Lerolle, Dagnac-Bouveret, Gervex, Besuard i wielu innych. Umieszczono tu również, w miejscu Puris de Chavannes'a *Inter artes et naturam* — artysta ten jednak to gwiazda pierwszego blasku.

Cóż mam powiedzieć po zatem? Salon z Pól Elizejskich a raczej jego pomieszczenie znanem jest dostatecznie. Sadowi się on w tak zwanym Pałacu Przemysłowym, pozostałym po wystawie 1867 r. W wielkiej hali na dole, pod oszklonem przykryciem mieści się tu obszerny i ponętny tak zwany *Jardin de Sculpture*, zastawiony zielenią i rzeźbami z białego marmuru lub gipsu. Trzydzieści z górą sal wystawowych urządzono na pierwszem piętrze. W Pałacu sztuk pięknych zeszłorocznej wystawy brak owego pięknego ogrodu na dole, w salach atoli wystawowych, mieszczących się i tu również na pierwszem piętrze, niema tego tłoku i ścisku, jak w niewielkich salonikach Pałacu Przemysłowego. Płótna też nie zapełniają tu całych ścian, sięgając sufitu, gdzie ich i najlepsze oko nie dojrzy, lecz wiszą sobie dwoma tylko rzędami w długich, widnych i przestronnych galeryach.

Nie żadne powody zasadnicze, lecz sprzeczka o medale i różne formalności podzieliła stowarzyszenie malarzy francuskich na dwa obozy i dała początek dwu Salonom — nie można więc powiedzieć, że jeden jest konserwatywnym a drugi postępowym. Bądź co bądź jednak, na Polu Marsowem więcej jest powietrza i światła, więcej miejsca, po galeryach zaś i kątach nowego i pięknego Pałacu sztuk pięknych nie błądzą żadne widma tradycyj artystycznych i nie straszą żywych. To też ściągnęło pod jego lekkie sklepienia wiele sił młodych, wybijających się dopiero na światło. Zjechało się tu także wielu cudzoziemców ($^1/_3$ wystawców): belgów, holendrów, szwedów, którzy prześcigają nieraz w *plein-air*'yzmie i impresyonizmie swych mistrzów, francuzów, pociągnęli zaś ochotnie do międzynarodowego Pałacu z wystawy 1889 r.

Parisis.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Coraz przyjemniej. — Zabawy letnie. — Konsystorz Akademii krakowskiej. — Ustępstwa dla opinii. — Jak powstają przesądy społeczne. — Respekt dla „lepszych.“ — Jedno echo odezwy w *Wiśle*. — Kompetentna ocena naszej statystyki. — Zbierajmy cyfry. — Skutki zwrotu ku pracy produkcyjnej. — Nadmiar sił — Samowola i dziwne zasady w Zawierciu. — Poniewieranie losem ludzi pracujących. — Spełniona wróżba. — Zasługi p. Gnolińskiego.

Coraz przyjemniej. Mamy nową operetkę, mamy teatrzyki ogródkowe, mamy wyścigi konne, dzięki którym przynajmniej trzech nadwiślaków może udawać anglików (tanim kosztem *go*, *on* i *all right*), mamy wreszcie „ingresy“ biskupie, budzące w opiewających je duszach takie uczucia, jakie tylko tryskać zwykły w sercach kochanków, wzruszonych rozkoszą wspomnień i nadziei. Gdy czytam te opisy, powtarzam sobie ciągle: jest jeszcze, jest miłość na świecie, która nie potrzebuje gorącymi pocałunkami przelewać się z ust do ust, a jednak odurza... Dziennikarscy bowiem sprawozdawcy z uroczystości wstępowania na stolice biskupów omdlewali w upojeniu i rozpływali się w łzach. Rzadko gaj naszej prasy brzmi śpiewami tylu i tak bogatych w trele słowików.

Daleko słabszem i uboższem pieniem, bo tylko chórem stańczykowskich eunuchów uczczono doroczny konsystorz krakowskiej Akademii umiejętności, na którym biret kardynalski otrzymał p. W. Spasowicz. Wprawdzie nowy dostojnik nie był ani Lutrem, ani Kalwinem, ani nawet Hussem względem papieżów Akademii; przyznanie mu wszakże zaszczytu jej członka czynnego jest wyraźnem ustępstwem dla opinii, która oddawna szemrze przeciwko zamianie tego niby wszechkościoła nauki na stańczykowską plebanię i parafię. Być może, iż kiedyś otrzymawszy listę jej kleryków, kapłanów i prałatów, opowiem wam, jacy to ludzie obdarzeni zostali przez nią godnościami, a jacy — nie. Dziś tylko ostrzegę czytelnika ogólnie przed złudzeniem, że Akademia krakowska ozdabia swój strój naświetniejszemi gwiazdami umysłowości polskiej. Są tam niewątpliwie i gwiazdy, ale w znacznej mierze: świecące próchna, ogniki bagienne, węgielki kadzielnic ultramontańskich i świętojańskie robaczki. Tego dobrego zebrało się już za wiele, trzeba więc było kimś nadłamać ostrze pocisków, miotanych w dzierżawców instytucyi i na ten użytek wybrano p. Spasowicza, którego przecież tyle razy karcił St. hr. Tarnowski! Czyż to nie wymowny dowód bezstronności?

Z maleńkich zdziebełek piasku składają się wysokie góry, a z naszych drobnych słów i czynów — obyczaje i zasady społeczne. Życie nasze jest wolnem od wielu skamieniałości cywilizacyjnych, pielęgnowanych bezmyślnie przez inne narody, ale posiada ono bałwochwalczy szacunek, a przynajmniej nieograniczoną pobłażliwość dla warstw „wyższych“ i surowość z lekceważeniem dla niższych. Jeżeli ktokolwiek z nas powie lub krzyknie, że chłop jest złodziejem, żyd — oszustem, dorożkarz—chciwym, żebrak — natrętnym itd., to może być pewnym, że w ogromnem kole słuchaczów znajdzie wiarę; gdyby natomiast te występki i wady przyczepił do innych, „lepszych“ gatunków ludzi, z pewnością pomówionoby go o potwarz. Pochodzi to stąd, że opinia — słowna i pisana — lekceważąc sobie dobre imię pospólstwa, nie oszczędza go w żadnym wypadku i tym sposobem utrwala w przekonaniach ogółu skojarzenia pewnych pojęć z pewnymi osobnikami. Przypuśćmy, że ulicą jedzie wóz zwykły i amerykan arystokratyczny i że obaj powożący wpadli końmi na przechodniów; furman wozu będzie ogłoszony całkowitem nazwiskiem we wszystkich pismach, pan z amerykana wspomniany tylko bezimiennie. Praktykując tego rodzaju odróżnienia ciągle, wpajamy wreszcie w ogół mniemanie, że nieostrożna jazda jest właściwością ordynarnych woźniców. Wyobraźmy sobie teraz, że niecna spekulantka wzięła młodą, cnotliwą dziewczynę na wabika dla mężczyzn, którzy jej posłużyć mieli do niegodziwych wyrachowań; jeżeli to będzie Ryfka Diament — dzienniki przedstawią nam ją bez osłony, jako Ryfkę Diament; ale jeżeli ona nazywać się będzie K...ska lub J...ska i należeć do „lepszej sfery“ — ujrzymy ją nawet w sprawozdaniach sądowych szczelnie zawoalowaną, jako panią K. lub J. Naturalnie wytwarza się dogmat, że cnotliwe dziewczęta puszczane bywają w obieg przez Ryfki, Gitle, a czasem przez rajfurki z niższego pokładu *skich*. Niedawno toczyła się w sądzie sprawa pewnej damy, która przyzwoitą panienkę poświęcić chciała dla wciśnięcia się do arystokratycznych salonów za granicą. Gdyby małą część jej... nieprzystojności popełniła Ryfka Diament, oglądałaby ją pod pręgierzem cała Warszawa; ponieważ jednak była to dama, więc znamy tylko jej kryptonim i nie wiemy, komu „nie kłaniają się na ulicy w Warszawie,“ kto wdziękami „siostrzenic“ otwiera sobie drzwi salonów w Nizzy i kto pomimo to posiada przywilej bezimienności w sprawozdaniach sądowych.

Prawie wszystkie pisma zajmują się projektami utworzenia przy Towarzystwie muzycznem wykładów deklamacyi, techniki dramatycznej i sztuki aktorskiej. Widząc nadzwyczajne zajęcie się tą sprawą, zrozu-

miałem, jak niefortunym był mój pomysł, wypowiedziany w *Wiśle*, ażeby ona wzywała swoich i nieswoich czytelników do nadsyłania jej cyfr i uwag, objaśniających udział żydów w naszem życiu społecznem i ekonomicznem. Uwaga bowiem społeczeństwa, skierowywana niezmordowanie ku zabawom i teatrowi, nie może przecież zaprzątać się taką fraszką, jak „kwestya żydowska.“ Dla rozcięcia tego węzła wystarcza nam cyganek, wyostrzony na kilku wątpliwych cyferkach i wetknięty w pustą frazeologię. To też ze wszystkich pism, wychodzących w obrębie Królestwa, powtórzyły i poparły odezwę *Wisły* tylko... *Radomskija gubernskija Wiedomosti*. Rezultat ten powinien być nauką dla przyszłych projektowiczów, ażeby nie wykraczali po za granice teatru, wycieczek, rautów i balów. Jeżeli wreszcie w Amsterdamie kotka urodzi kocięta z zajęczymi nogami, to one niewątpliwie przebiegną naszą prasę; ale kwestyonaryusz dotyczący żydów zatrzymany zostanie w kotlinie, w której się wylągł. Bo i czegóż my o nich nie wiemy? Znamy Stary Zakon, kilka przepisów i opowieści Talmudu, dzieła Drumonta, powieści Junoszy, fejletony Prusa, roczniki pism humorystycznych, sprawy subhastacyjne, procenty pobierane przez lichwiarzów i wiele, wiele innych rzeczy, a czyż to nie wystarcza do rozstrzygnięcia „kwestyi żydowskiej,“ kwestyi uczestnictwa miliona ludzi w materyalnem i moralnem życiu społeczeństwa? Posiadamy nawet cyfry, które nam odpowiadają na wszelkie pytania. O cyfrach tych wyrażane bywają czasami bardzo znaczące wątpliwości. Tak np. *Now. Wremia* w korespondencyi z Warszawy donosi: „Dnia 17 b. m. odbyło się tu posiedzenie komitetu statystycznego pod przewodnictwem Naczelnika kraju i z udziałem prezesa komitetu centralnego, p. Troickiego. Gorące rozprawy toczyły się w przedmiocie zbierania danych o ruchu ludności w Królestwie Polskiem podczas lat 10; po wszechstronnych wyjaśnieniach okazało się, że *ani jeden* z projektowanych sposobów nie daje rękojmi dokładności. W każdym razie sprawa ta nie ominie rąk pisarzów gminnych, a ufać im nie bardzo można, ponieważ śród setki znajduje się zaledwie kilku takich, którzyby z całem przekonaniem zabierali się do roboty.“ Korespondent na wymownym przykładzie ilustruje nieścisłość naszej statystyki w wypadkach, do których po nie powinnyby się zakradać grube omyłki. Wobec tego zakwestyonowania wiarogodności cyfr ze strony samych organów urzędowych, dziecięca ufność publicystów do podejrzanego materyału poszczycić się może wysoką naiwnością. Jeżeli zaś sam ruch zaludnienia nie został dotąd ujęty w liczby, to cóż powiedzieć o innych objawach, niekontrolowanych nawet księgami meldunkowemi! A jednakże na tak niklej i fikcyjnej podstawie publicyści nasi opierają swoje stanowcze wnioski i wywody. To też gdy Prus woła: „czytajcie cyfry,“ ja radzę: naprzód zgromadźcie cyfry pewne, a potem je czytajcie.

Ciekawą byłaby statystyka młodych ludzi, którzy ukończywszy szkoły techniczno-przemysłowe, wyczekują pod zamkniętemi drzwiami fabryk już nie na pracę płatną, ale na bezpłatną i na możność kształcenia się praktycznego. W każdym razie jest to legion. Przez dwa ostatnie dziesiątki lat rozbrzmiewało w naszem społeczeństwie i prasie hasło kształcenia młodzieży w kierunku produkcyjnym. Wywarło ono istotnie wpływ szeroki. Te sfery, które dawniej dla swych synów nie widziały szczęścia po za urzędami, wprowadziły ich na nową, zalecaną drogę. Zamiast do uniwersytetów, zaczęto tłoczyć się do wyższych szkół technicznych, z których wyszli i wychodzą ludzie uzdolnieni do pracy przemysłowej. Ale zwrot ten wyrodził inną i bardzo poważną kwestyę: gdzie zużytkować ten napływ sił? Fabryki okazały się albo przepełnione, albo dla przybyszów niechętne. Z rozwojem wykształcenia nie postępował równolegle i równomiernie rozwój przemysłu, na dawne zaś jego pola interes chętniej powołuje pracowników prostych, rutynowanych i tanich, niż wyszkolonych i droższych. Nadto żywioł miejscowy nie mógł znaleźć dostatecznej opieki i życzliwości w przemyśle obcym, przeważnie niemieckim, spekulacyjnie u nas zaszczepionym i posługującym się swoimi rodakami. Wszystko to sprowadziło na rynek nadmierną podaż rąk i głów, które po wielu latach starań i bezpłatnej usługi nie mogą zdobyć zarobku. Wszystkie fabryki w kraju są oblężone przez tłum młodzieży z patentami wyższych szkół technicznych i przemysłowych, która jak o największą łaskę prosi o możność praktykowania. Do tej ogólnej troski często jeszcze zła wola dorzuca swoje kamienie. Tak np. niedawno dyrektor (polak) fabryk Towarzystwa akcyjnego „Zawiercie“ wydalił dwunastu polaków (przeważnie ludzi z wyższem ukształceniem), nie tknąwszy ani jednego niemca, a nawet przyjąwszy nowego. Pan ten, któremu „wolno być niesprawiedliwym,“ posunął równocześnie samowolę tak daleko, że odprawionym odmawiał wydania świadectw, według kaprysu oznaczał przypadającą im należność, a usuwając (niby dla oszczędności) jednych, drugim, zaszczyconym jego dostojną łaską, podwyższył pensye. Z dowodów, złożonych nam przez jego ofiary, przytoczymy drobny, ale charakterystyczny. Oto brzmienie dymisyi: „Ponieważ *wszelka praktyka*, a tem samem jednostki niemające *zajęcia stałego* są poniekąd przeszkodą dla fabryki, przeto itd.“ Czy słyszał kto, ażeby praca człowieka teoretycznie wykształconego była „przeszkodą dla fabryki“ i ażeby taki człowiek, spełniający włożone nań obowiązki, nie miał „zajęcia stałego“? Obok pytania wniosek: skoro „wszelka praktyka jest poniekąd przeszkodą dla fabryki,“ zatem wszystkie fabryki, o ile nie chcą ponosić strat i spełniać aktów dobroczynnych, powinny zamknąć się przed nowymi kandydatami bez względu na ich zdolności i wiedzę teoretyczną; ponieważ zaś wszystkie siły fabryczne przygotowują się drogą praktyki, a ta będzie zamkniętą, więc po wymarciu obecnych, przemysł ustać musi. Do takich niedorzeczności prowadzi logicznie rozwinięta zasada dyrektora z Zawiercia.

W jednym z poprzednich numerów *Prawdy* zrobiłem żartobliwe przypuszczenie, że furmani żydowscy, dowiedziawszy się o taryfach i opłatach za bilety na kolei Terespolskiej, zmartwychwstaną i zaczną z nią współzawodniczyć w przewożeniu osób i rzeczy. Nie sądziłem, że wróżba ta już się spełniła. Bo oto, co donosi *Kuryer codzienny:* Skutkiem anormalnych taryf i ceny przejazdu koleją do najbliższych stacyj „prawie cała uboga ludność miasteczek Nowomińska, Siennicy, Karczewa, Okuniewa, Garwolina, Stanisławowa oraz innych w powiatach nowomińskim i garwolińskim komunikuje się z Warszawą przy pomocy bryk furmańskich i kilku omnibusów.“

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Jak się pewien radca przysłużył Towarzystwu kredytowemu ziemskiemu oraz jego członkowi. — Igranie z ogniem. — Liczcie się z cyframi.— *Suum quique.*

Niech mi Towarzystwo kredytowe ziemskie niema tego za złe, że, gdy pociągnę za dostarczony mi przez pokrzywdzonego sznurek, uchyli się niedyskretnie kulisa, a z po niej wyjrzy nieprana bielizna tej szanownej instytucyi. Tym postnym sznurkiem (sądzę, że w znacznej części z włókien prawdy skręconym) jest dla mnie piśmienne zeznanie braci Kuszllów, nieupraną zaś bieliznę Towarzystwa — cała sprawa wywłaszczenia ich z majątku przez Dyrekcyę szczegółową lubelską. Czytając suchy materyał, nadesłany w tej mierze do redakcyi *Prawdy*, musiałem co chwilę sprawdzać, czy nie wsunął mi czasem kto dokumentu o jednym z zajazdów sąsiedzkich z okresu staroszlacheckiej Rzeczypospolitej. Rzecz się miała tak. Majątek Nowosiółki, położony w powiecie hrubieszowskim, gub. lubelskiej, był obciążony sumą 10,000 rs., pożyczoną przez p. Ilustrowskiego, pisarza Dyrekcyi szczegółowej lubelskiej — dawnemu posiadaczowi, zmarłemu Janowi Kuszllowi. Dla spłacenia tego ciężaru, jako też i innych drobniejszych długów, nieboszczyk sprzedał 10 włók ziemi kolonistom, którzy, dawszy zadatki, weszli w posiadanie gruntu, z warunkiem, że szacunek wraz z procentem spłacać będą; w przeciwnym zaś razie tracą zadatki i obowiązani są do ustąpienia z zajmowanych gruntów. Po uiszczeniu się z całkowitego szacunku nabytej przez nich ziemi zmarły Kuszell obowiązał się oddzielić im hypotekę. Podania do Towarzystwa kred. ziem. o zwolnienie nie zrobiono, ponieważ prawowity fakt sprzedaży zależnym był od wypłacalności nowonabywców. Koloniści jednak niczem więcej, prócz wniesionych zadatków, należności nie pokrywali. W takim stanie rzeczy r. 1887 zaściga Jana Kuszlla śmierć. Majątek, jako naturalni i jedyni spadkobiercy, obejmują w posiadanie jego synowie, pp. Kazimierz i Władysław. Kolonistów, ze względów „humanitarnych,“ nie rugowali, myśląc, że ci w końcu zapłacą, chociaż to zmuszało spadkobierców przez kilka lat płacić podatki i procenty Towarzystwu. Do kłopotów z kolonistami przyłączyła się klęska elementarna: z powodu deszczów nieustannych podczas żniw zgniło przeszło 1,000 kop pszenicy na polu. Wszystko to razem było powodem, że pp. Kuszllowie zalegli w opłacie rat Towarzystwu kred., które znów zmuszone było wystawić majątek na sprzedaż w dniu 18 sierpnia 1888 r. Ponieważ jednak urodzaj był niezły, a przetarg wypadał po żniwach, pozostawała jeszcze nadzieja, że przed naznaczonym terminem zaległość Towarzystwa da się pokryć. Tymczasem d. 28 lipca 1888 r. zjechał na grunt radca-delegat Dyrekcyi szczegółowej lubelskiej, p. Gustaw Wierciński, i korzystając z tego, że pp. K. nie dopełnili intromisyi, tytułem wakującego spadku, ogłoszonego uprzednio na żądanie pisarza Ilustrowskiego oraz tytułem wrzekomej dewastacyi, nałożył na majątek administracyę, powierzoną niejakiemu p. Bogusławskiemu. Naturalnie prawo rozporządzania funduszami i plonami zostało odjęte pp. K. Nadzorcą administracyi ustanowił radca p. Koiszewskiego, właściciela dóbr, położonych w sąsiedztwie, włożywszy nań obowiązek dopilnowania, żeby zarządca w niczem nie przekroczył instrukcyi danej w protokóle. Tu dopiero rozpoczyna się dramat własnościowy. P. radca nie dał w instrukcyi polecenia administratorowi przygotowania funduszu na opłacenie zaległości Towarzystwu, prośby zaś p. K. Kuszlla, żeby mu wolno było wziąć odpowiednią ilość zboża po przedstawieniu kwitu z opłaconych rat Towarzystwu wynoszących około 1,400 rs.—nie uwzględnił. Również p. Wierciński nie chciał zamieścić w protokóle wezwania p. K., żeby polecił administratorowi przygotowanie „miejscowymi środkami“ funduszu na opłacenie zaległości. Co się tyczy krescencyi z gruntów bezprawnie zajętych przez kolonistów, zamiast nakazać użycie jej na zapłacenie rat, przynajmniej w stosunku do rozmiaru zajmowanych przez nich działek, p. radca nie pozwolił w instrukcyi użycia przez zarządcę oporu, gdyby koloniści chcieli usunąć z pól plony. Korzystając z zachęty, natychmiast krescencyę sprzątnęli wraz ze słomą i sprzedali.

W ten sposób, cel, do którego p. radca, odziany w płaszcz powagi instytucyi zie-

miańskiej, dążył, został osiągnięty: zaległości nie były opłacone, a więc majątek z konieczności musiał uledz sprzedaży w terminie wyżej oznaczonym. Nabywcami zaś stali się ciż sami, których pp. Kuszllowie, pomimo ich niewypłacalności, oszczędzali—koloniści. „Nietylko jednak krescencyę z gruntów bezprawnie przez nich zajmowanych — głosi nadesłana nam deklaracya — oddał im radca Wierciński, ale nadto darował im także wspaniałomyślnie i całą krescencyę z gruntów dworskich przed sprzedażą majątku zebraną, a zatem, według logiki i obowiązującego kodeksu, będącą bezsporną własnością Kuszllów, nie zapłaciwszy z niej ani zaległych rat, ani nawet należnego wynagrodzenia służbie, która *do dziś dnia jest niezapłaconą*." Wyzuci w ten sposób z własności, w następstwie Kuszllowie ponieśli jeszcze dotkliwsze straty. Spadli z hypoteki wierzyciele położyli sekwestr na meblach, stajni i wozowni; wystawili na przetarg i sprzedali wszystko za 1,400 rs. Na dowód, jak sprawę tę po wandalsku przeprowadzono posłużyć mogą ceny sprzedażne niektórych wyższej wartości przedmiotów: np. 8 obrazów oryginałów pędzla pierwszorzędnych podobno malarzy — za rs. 14, ogiera rasowego sześcioletniego — za 50 rs. itp.! Chcąc mieć w ręku dowód popełnionego bezprawia, wniósł p. K. Kuszell do Dyrekcyi szczegółowej lubelskiej prośbę o wydanie mu kopii protokółu nałożenia administracyi, do czego jako interesowany (i dodajmy, jeżeli nie trafił na jaki drakoński przepis) miał prawo, otrzymał odpowiedź odmowną tej treści: „Dyrekcya szczegółowa ma zaszczyt objaśnić W-go Pana, iż do wydania żądanych kopij nie znajduje żadnej podstawy." Szczęściem pokrzywdzeni dostali od administratora (kilkakrotnie podobno złapanego na krazzieży) inny egzemplarz. Kołatali potem pp. K. ze skargą do Dyrekcyi Głównej, która po „półrocznym namyśle" wystosowała do Kuszllów odezwę następującej treści: „Na jakiej zasadzie występujecie panowie z pretensyami do Towarzysta kredytowego, kiedyście nigdy nie byli właścicielami Nowosiółek, tylko wasz ojciec?"

Wstrzymuję się od komentarzów, tembardziej, że w niniejszej sprawie należałoby ściśle zastosować zasadę: *audiatur et altera pars*... Jednej tylko pozwolimy sobie uwagi. Gdyby to wszystko, co autor nadesłanej nam „deklaracyi" wyłuszczył, miało niezachwiane podstawy prawdy, wypadałoby spytać Towarzystwo kredytowe ziemskie, instytucyę niedającą się pomyśleć w oderwaniu od dzisiejszych stosunków własnościowych, coby się stało z drobną, wielką i średnią własnością ziemską, gdyby w kraju jednocześnie istnieli tylko posiadacze *ojcowie* i naraz, w jednej chwili, pomarli wszyscy, *synowie* zaś ich, jako uznani przez kodeks cywilny jedyni naturalni spadkobiercy z jakichkolwiek powodów nie zdążyli uzyskać intromisyi, uświęcającej formalności prawnej, a w tem przyszłoby komu do głowy zastosować do nich praktyki radcy Wiercińskiego?.. Moi panowie, na jakże cienkim włosku zawieszacie jedno z najważniejszych paladyów współczesnego ustroju! Na waszem miejscu miałbym pretensyę nietylko o krzywdę wyrządzoną jednostce, ale o zachwianie wiary w trwałość rzeczy ludzkich, o prostowanie ścieżki dla jakiejś wielkiej likwidacyi, czy ja wiem?.. Zresztą rozwikłanie tej sprawy pozostawiam znawcom jałowych labiryntów mądrości prawa cywilnego, jako obrońcom z powołania wszelkiego kalibru prywatnej własności ziemskiej i wszystkich ideałów na niej wyrosłych... Co zaś do pp. Kuszllów, to ze znanych sobie faktów wysnuli oni dwa skandaliczne, za które my wcale a wcale nie odpowiadamy, wnioski: 1) Cała intryga była uknuta w tym celu, żeby pisarzowi Ilustrowskiemu oszczędzić nieodłącznych od subhastacyi kłopotów i ułatwić podjęcie sumy zabypotecznej na dobrach pp. Kuszllów, Nowosiółki. 2) Radca Wierciński swą zmową z pisarzem Ilustrowskim i kolonistami zsolidaryzował ze swoim postępkiem władze nietylko Dyrekcyi szczegółowej, lecz i Głównej, które dla ocalenia czci musiały dalej snuć wątek „bezprawia." A teraz nasza rada pod adresem Towarzystwa: jeżeli sprawa wytoczoną zostanie na stół sądowy i okaże się zasłona, która kryła czoła z rumieńcem wstydu, wypadnie staranniej na przyszłość dobierać sobie radców...

„Czytajcie cyfry" — pod takim tytułem p. Prus w *Kuryerze codziennym* rozpoczął szereg artykułów. Mybyśmy powiedzieli: „czytajcie cyfry i liczcie się z niemi!" Szczególnie przydałoby się to naszym antyindustryalistom, którzy z wielkiej miłości dla roli powypełniali sobie czaszki wszelakiem ziarnem zbóż. „Postaramy się dowieść na mocy dat, jakie udało się nam pochwycić w rozmaitych gazetach — powiada autor *Lalki* — że alarmy ekonomiczne nie mają u nas żadnej szerszej podstawy i że istotną chorobą ekonomiczną jest niewiadomość, brak energii i próżniactwo, nie zaś „powszechna ruina" — słowem prawie wszystkie te przywary naszych przemysłowców i kupców, które wytknął w *Lalce*. Żeby tem skuteczniej rozwiać czcze utyskiwania u nas nad zachwianiem się przemysłu, pozbierał on kawałki rozproszonego po dziennikach zwierciadła statystycznego i kazał się w niem przejrzeć przemysłowi krajowemu. Jakże on wygląda?

Ogólna produkcya przemysłowa wynosiła w cyfrach okrągłych: W r. 1852 — 27 mil. rs., w 1871 — 65, w 1880 — 167, w 1888 — 209. „Czyli: przemysł nasz od 30 lat nietylko nie upada, ale ciągle i dość okazale wzrasta." W pierwszym 12-to leciu przyrost wynosił 143% (12% rocznie), a w ostatniem ośmioleciu — 125% (16% rocznie). Tak samo wzrasta liczba robotników przemysłowych: W r. 1871 było ich 68,000, w 1880—115,000, w 1888—144,090. „Gdzie tu więc powód do ekonomicznego pesymizmu?" — pyta Prus. Naturalnie, zaznaczywszy iż na teraz, jako odbicie współczesnego stanu rzeczy, mieści się w przytoczonych liczbach gruba oś prawdy, nie można ich uważać za zupełnie ściśle. Komu innemu, zapatrzonemu w plantacye środnioazyatyckiej bawełny i nowe ogniska przemysłu naddnieprzańskiego, a jeszcze bardziej może w przyszłość drobnych warsztatów, wydadzą się one nietylko pozbawionemi ścisłości, lecz zgoła — marnemi.

Ponieważ już bardzo blizko doszedłem w materyi do tego punktu (Łódź), który w zeszłym fejletonie dał sposobność prowincyonalnemu kronikarzowi do zaczepienia mię, muszę zrobić uwagę, iż zarzut wymierzony mi co do chwiejności użytego przeze mnie argumentu na poparcie przesłanek teoretycznych, o tyle jest słuszny, o ile wiara mojego przeciwnika w skuteczność modłów jego zanoszonych pod adresem protektorów ulubionych dążności i instytucyj — jest gorąca... Kronikarz pewnego pisma niech się nie dziwi, że gałek z zakrzepłej żółci, według zwyczaju rzucanych z za płotu od pewnego czasu w moją stronę, dotychczas nie podjąłem i nie zwróciłem mu skwapliwie. Najprzód nie obdarzyła mię natura tradycyjną krewkością szlachecką i nigdy nie miałem upodobania do zaczepek żakowskich, a powtóre nie tak dawno uczyłem się iść wskazanymi torami. Natomiast kilkakrotnie z tego samego miejsca usiłowałem puścić kilka promieni właściwego światła na parę żywotnych dziś u nas kwestyj, stawianych przez kogoś dla dobra sprawy opacznie, ale za każdym razem napotykałem po drodze bezwiednie ochronną dla mojego przeciwnika siatkę... Los ten, zdaje mi się, nieraz jeszcze mię spotka, bo nie należę ani do „wsteczników świadomych," przystrojonych w cudze zwodnicze piórka, ani do uzbrojonych w dmuchawki do „rozwiewania chmur" wstrętnych, ani też piersi mojej nie chroni niepochwytny, lecz czarodziejski amulet dwulicowy, na którego lepszej stronie raduje oczy humanitarne hasło: „ukochanie idei, ludzkości i przyrody," a na odwrotnej jego surogat: „ziemia, prosty człowiek i Bóg" — w przyszłości zaś może nawet — czy ja wiem co?

Z. Atanazy.

KRONIKA.

Instytut inżenierów komunikacyj.

W końcu maja zatwierdzono nową ustawę Instytutu inżenierów komunikacyj w Petersburgu. Kurs trzyletni, wprowadzony przed dziesięciu laty, zmieniony będzie na pięcioletni. Egzaminy konkursowe będą zniesione. Wybór kandydatów zależeć będzie wyłącznie od ich (prawdopodobnie decydujących) świadectw i patentów z wyższych i średnich zakładów naukowych; tylko w razie braku takich kandydatów, odpowiadających wymaganym warunkom, stosowany będzie dotychczasowy sposób egzaminów konkursowych. Nowość ta wielce ułatwia starania o przyjęcie do zakładu, daje bowiem możność zgłaszania się bez osobistego przyjazdu do Petersburga, a nadto— jak twierdzą *Nowosti* — zapewnia lepszy niż dotychczas wybór studentów, gdyż, jak wykazała praktyka, egzaminy konkursowe często nie dawały dokładnych wskazówek o zdolnościach kandydatów. Opłata roczna za naukę podwyższona będzie z 50 do 100 rs. rocznie. Fundusz z tego źródła ma ułatwić instytutowi dalszy rozwój drogą nabywania nowych środków pomocniczych. Ustawa określa dokładniej znaczenie inżeniera komunikacyj. Stosownie do postępów, kończący Instytut otrzymywać będą stopnie „inżeniera komunikacyj" i „technika komunikacyj," dla odróżnienia od „inżeniera cywilnego," który jest więcej specyalistą w dziale architektury, wykładanej głównie w Instytucie inżenierów cywilnych. Na katedrę powołane będą najlepsze siły z innych zakładów naukowych. Jednocześnie Instytut przygotowywać będzie do działalności pedagogicznej młodych inżenierów. Byt materyalny profesorów będzie znacznie polepszony.

Zasób filantropii.

Powtórnie zwołane posiedzenie roczne uczestników i uczestniczek Towarzystwa opieki nad ubogiemi matkami oraz ich dziećmi w salonie hr. Raczyńskiej zgromadziło zaledwie kilkanaście osób na ogólną liczbę członków 446 osób... Z odczytanego sprawozdania dowiadujemy się, że dochód Towarzystwa wynosił z różnych źródeł filantropijnych (składek, went, balów) — 24,119 rs. 18 kop., wydatkowano 11,634 rs. 52½ k. Zostało przewyżki na rok bieżący rs. 12,485. W zakładzie przebywało w ciągu zeszłego roku 266 matek, w tej liczbie 89 niezamężnych, przepędziły one przeciętnie po 16, 80 dni; zamężne po słabości średnio 8, 80 dni, niezamężne—31, 33! Dzieci znajdowało się w zakładzie 256; w tej liczbie nieprawych 89. Zmarło 1 prawe i 4 nieprawe, oddano na wieś 58, matkom z przyznaną zapomogą 12, matkom bez dalszej opieki — 166. Dzieci, które zakład opuściły, przebywały w nim przeciętnie dni 15, 38, oddano zaś wprost z zakładu na wieś — 31, 26. Całkowity koszt utrzymania jednej matki wraz z dzieckiem w zakładzie wynosił średnio dziennie rs. 1 kop. 9. Dzieci umieszczonych na wsi, pozostało na rok bieżący 127; opłata na utrzymanie dziecka w ciągu roku wynosiła rs. 35 kop. 87. *Gazeta polska* zwraca uwagę szafarzów na to, iż powinniby pomyśleć o zniżeniu kosztów utrzymania matek w zakładzie. Istotnie, jeśli one są wygórowane, należałoby być bardziej filantropami...

Ognisko, stowarzyszenie akademickie w Wiedniu, prostuje listownie wzmiankę naszego korespondenta (w n. 21 *Prawdy*) zaprzeczeniem, jakoby ster tej instytucyi dostał się w ręce młodzieży postępowej. Z walki, która toczyła się nie o zasady, lecz o sprawy administracyjne, wyszedł zarząd mieszany, mający w swym składzie obok postępowców także konserwatystów i antisemitów.

Szkoły. Przy ministeryum oświaty utworzona będzie osobna komisya w celu opracowania projektu nowej ustawy Akademii nauk.

— Stała komisya przy ruskiem Towarzystwie technicznem projektuje utworzenie szkół specyalnych: chemiczno-technicznej, elektryczno-technicznej i fotograficznej.

— Studenci ostatniego kursu inżenierów komunikacyi dostali za zadanie do złożenia ostatecznego egzaminu zbadanie w ciągu lipca koryta Wołgi. Podzieleni będą na dwie partye: jedna rozpoczyna czynności od Niższego-Nowogrodu, druga od Saratowa.

— W politechnice ryzkiej ma być wprowadzony obowiązkowy wykład w języku ruskim.

— Prawosławna władza duchowna otrzymała kredyt 61,314 rs. wyłącznie na utrzymanie szkół duchownych prawosławnych w prowincyach zachodnich.

— Z początkiem przyszłego roku szkolnego nową formę umundurowania, przepisaną dla uniwersytetu warszawskiego, obowiązani będą nosić studenci wszystkich kursów i wydziałów, z wyjątkiem drugorocznych na piątym kursie medycyny, którzy do czasu złożenia ostatecznych egzaminów mogą nosić dawną formę lub odzież cywilną. Dawna forma umundurowania uniwersytetu warszawskiego jest obecnie obowiązującą dla studentów gospodarstwa wiejskiego w Nowej-Aleksandryi (Puławach).

— Na ostatnim zjeździe lekarzy i przyrodników ruskich poruszono sprawę zaprowadzenia zmian w dotychczasowym sposobie pozyskiwania stopnia naukowego doktora medycyny.

— Komitet ministrów zatwierdził opracowane przez komisyę specyalne przepisy o wydawaniu urzędnikom państwowym zapomóg na kształcenie dzieci. Z przywileju tego będą korzystać urzędnicy, pozostający w służbie państwowej przynajmniej lat 15.

— W Syberyi ma powstać instytut weterynaryjny.

— W Hong-Kong założono Akademię medyczną na wzór europejskich.

Wiadomości administracyjne. Paragraf 18 instrukcyi, dotyczącej kontroli nad górnictwem prywatnem, zmieniono w następujący sposób. Po otrzymaniu zawiadomienia o nieszczęśliwym wypadku w kopalni, o śmierci lub kalectwie robotników, inżenierowie okręgowi albo ich pomocnicy obowiązani są udać się na miejsce wypadku dla zbadania przyczyny nieszczęścia i wynalezienia odpowiednich środków zaradczych na przyszłość lub przyjścia z pomocą ofiarom katastrofy. Oryginał spisanego protokółu powinien być złożony natychmiast w departamencie górniczym lub zarządzie, a kopie jednocześnie przechodzą do sędziego śledczego.

Wystawy. W Kaliszu podczas wyborów do Towarzystwa kredytowego ziemskiego, staraniem okolicznych rolników urządzono wystawę inwentarza i maszyn rolniczych.

— Odbędzie się w Warszawie wystawa prac po zmarłym rysowniku Władysławie Sandeckim.

— W Petersburgu zawiąże się wkrótce komitet stały dla powszechnych i miejscowych wystaw.

— Od 15 września do 1 października w Norymberdze będzie otwarta wystawa rysunków i przyrządów rysunkowych.

— W Budapeszcie otwartą będzie w sierpniu wystawa teatralno-aktorska.

— W Magdeburgu otwarto wystawę marek pocztowych.

— W Edymburgu otwarto międzynarodową wystawę elektryczną.

— Celem uczczenia 500-ej rocznicy śmierci Dantego, urządzono we Florencyi międzynarodową wystawę artystycznej i umysłowej pracy kobiet.

Zjazdy. Drugi zjazd chirurgów polskich odbędzie się w Krakowie 15, 16 i 17 lipca r. b.

— Na rzecz zapowiedzianego w Petersburgu kongresu międzynarodowego w sprawie wykształcenia technicznego, przemysłowego i handlowego, sfery rządowe zajęły się zbieraniem odpowiedniego funduszu.

Rolnictwo. Departament rolnictwa zwrócił się do instytucyj rolniczych i ogrodniczych z prośbą o poparcie jego usiłowań w kierunku zakładania sadów i ogrodów przy szkołach wiejskich.

— Działalność projektowanej instytucyi elewatorów zbożowych będzie następująca: Elewatory będą podlegały kontroli. Sortowanie ziarna należeć ma do obowiązków komitetu inspekcyjnego i dozorcy składów zbożowych. Komitet z właścicieli elewatorów lub składów tudzież kupców gildyjnych pozostaje pod przewodnictwem delegata departamentu przemysłu i handlu. Oznacza on co rok gatunki zboża przed 13 września. Próbki w opieczętowanych naczyniach szklanych powinny być wystawione w składzie i na giełdzie zbożowej. Komitet odpowiada za sortowanie zboża tylko w obrębie składu lub w tym wypadku, jeżeli ziarno przewożone będzie w workach, opatrzonych plombą składu. Jednocześnie poruszono sprawę uregulowania giełd zbożowych. W związku z powyższym pozostaje sprawa utworzenia na rynkach zagranicznych agentur specyalnych, któreby zajmowały się sprzedażą zboża i produktów zbożowych.

Sprawy kolejowe. Pociągi pospieszne i pocztowe kolei Wiedeńskiej mają być wkrótce zaopatrzone w hamulce t. zw. ciągłe, systemu Hardy'ego.

— Układy w sprawie skupu przez rząd kolei Libawsko-Romeńskiej są już na ukończeniu.

— Zarząd tymczasowy kolei skarbowych opracował projekt kasy pomocy dla robotników.

— W zarządzie kolei Nadwiślańskiej ponownie poruszono sprawę budowy drugiego toru od Kowla do Iwangrodu.

— Otwarto kolej Mniejszo-Azyatycką z Angory do Ismidu.

— Departament kolejowy oznajmił, że ministeryum skarbu dopiero wtedy wyrazi swoje zdanie w przedmiocie nowych taryf komunikacyi niemiecko-warszawskiej, gdy już będą wypracowane odpowiednie projekty z oznaczeniem odległości zainteresowanych kolei ruskich i niemieckich. Departament zaznacza, iż wyrażone przez przedstawicieli niektórych kolei życzenie, ażeby w nowem wydaniu taryf komunikacyi niemiecko-warszawskiej pomieszczone były także „stawki dla bezpośredniej komunikacyi kolei okręgu warszawskiego z kolejami okręgu wrocławskiego, tudzież aby zastosowano jednakowe warunki taryfowe dla transportów nadchodzących z Prus do Sosnowic lub odwrotnie — uznano za zupełnie słuszne.

— Z rozporządzenia głównej inspekcyi kolejowej wkrótce na wszystkich drogach zaprowadzone będą sygnały, ostrzegające dróżników o nadchodzącym pociągu, urządzone w formie dzwonków elektrycznych; nadto do każdego domku dróżniczego doprowadzony będzie zapasowy drut telegraficzny w celu zasięgania pomocy z najbliższej stacyi w razie wypadku. Przenośny aparat telegraficzny ma się znajdować w pociągu. Projektowaną jest także ciągła kontrola dróżników, obowiązanych kilka razy na dobę obchodzić swój dystans. Dróżników nie wolno będzie używać do żadnych stałych robót, oprócz do poprawek natychmiastowych, nieprzeszkadzających im w dozorze linii.

Wiadomości społeczne. Sprawa dóbr powittgensteinowskich tak się przedstawia: Przemieszkawszy w kraju lat 5, młody ks. Hohenlohe, syn dziedziczki, będzie mógł przyjąć poddaństwo ruskie; sprzedaż dóbr będzie wówczas zbyteczną. Termin sześcioletni jest tylko formalnem odroczeniem sprzedaży; *de facto* dobra pozostaną i nadal w rękach spadkobierców, o ile młody książę dobrowolnie ich nie sprzeda.

— W Krakowie, w parku dr. Jordana zaprowadzono dla dzieci bezpłatne kąpiele, z zastosowaniem tuszów, według metody Prissnitza.

— W Lwowie powstało Towarzystwo przyjaciół oświaty ludowej.

— Z powodu wzmagającej się drożyzny w Krakowie, drukarze miejscowi żądają podwyższenia płacy.

Literatura. Ze Lwowa donoszą, iż wkrótce zacznie wychodzić nowe codzienne pismo ruśińskie, podobno półurzędowe.

— W Niemczech wyszło 13 powieści sensacyjnych, osnutych na tle życia i tajemniczej śmierci Ludwika II bawarskiego, a 22 zajmujące się losami i zgonem arcyksięcia Rudolfa. Z tych ostatnich jedna rozeszła się w 120 wydaniach.

— Z pomiędzy nagród, wyznaczonych obecnie z zapisu Montyona przez Akademię francuską, otrzymała 500 fr. p. Poradowska za powieść p. t. *Demoiselle Micia*.

— Czeski przekład najnowszej powieści hr. Lwa Tolstoja „Sonata kreutzerowska,“ został skonfiskowany przez policyę.

Zmarli. Oskar Kolberg, znakomity etnograf polski w Krakowie.

— G. Karpow, w Moskwie; historyk, autor „Historyi wojny państwa Moskiewskiego z Polsko-Litewskiem.“

— Wiktor Rousseau de Beauplan, w Paryżu, komedyopisarz francuski.

— Verissimo Maria Gonalhes, literat portugalski w wieku lat 116.

— Józef Stoczek, uczony węgierski, profesor fizyki i pierwszy rektor politechniki peszteńskiej.

— Edwin Waugh, w Liverpoolu, angielski poeta ludowy.

— James Nasmyt, w Londynie, inżenier angielski, wynalazca młota parowego.

— Edmund Dorer, literat i krytyk niemiecki.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Studentce medycyny w Bernie. Dla obszernych polemik z artykułami w innych pismach drukowanymi nie mamy miejsca. Sądzimy przytem, że nawet przy słuszności zarzutów należałoby względem Jeża zachować ton poważniejszy.

Stałej prenumeratorce. Żydem.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 25 Мая 1890 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.